Nr. 18. Lwów, Niedziela dnia 30. Kwietnia 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVII.

Badania przyrodniczych właściwości kraju.

II. Obznajomiliśmy już czytelników naszych z ogólnym planem zbadania przyrodniczych właściwości naszego kraju, wypracowanym przez komisję fizjograficzną Akademji umiejętności w Krakowie, a sankcjonowanym przez reprezentację kraju. Ponieważ zaś ta praca, która w swych skutkach oprócz pożytku naukowego przynieść może dla rozwoju materjalnego bogactwa ludności naszego kraju nieobliczone korzyści, wymaga współudziału rozsianych we wszystkich okolicach kraju zawodowych pracowników na polu nauk przyrodniczych w szczególności, jak niemniej wszystkich miłośników przyrody w ogóle, dlatego wydaje nam się rzeczą potrzebną, aby praktyczne cele tych badań stały się powszechnie wiadomemi. Pozwolimy sobie przeto przytoczyć dziś niektóre szczegóły w tym przedmiocie.

Najpilniejszem zadaniem komisji fizjograficznej będzie teraz sporządzenie dokładnej mapy topograficznej i hypsometrycznej, skreślonej w wielkich rozmiarach podług skali 1:28.800, czyli że jeden cal na mapie będzie się równał jednej mili w naturze. Za podstawę tej pracy będą służyły fotograficzne kopje map sztabu jeneralnego, i użytym zostanie materjał, nagromadzony już dotychczas przez komisję fizjograficzną, tudzież dawniejsze pomiary różnych badaczy po ich ponownem sprawdzeniu. Wysłani przez komisję miernicy będą mieli obowiązek ten materjał podług pewnych stałych zasad uporządkować, przez pomiary trygonometryczne i barometryczne uzupełnić, miejsca wymierzone na mapie powyznaczać, i wykreślić na niej linje, oznaczające wznoszenie się warstw — przy mniejszych spadkach dla każdych 25, przy większych dla 50 metrów. Dokładna wiadomość rzeźby kraju i wzniesień nad poziom morza jego pojedynczych części jest bowiem potrzebną przy rozwiązaniu wielu ważnych zadań, mianowicie przy badaniu flory i fauny kraju, służy do wytłumaczenia i ocenienia wielu klimatologicznych stosunków, konieczną jest przy zawodnianiu i osuszaniu pewnych okolic, jak niemniej przy ocenianiu najkorzystniejszego urządzenia środków komunikacyjnych.

Badania geologiczne do tego będą zmierzały, aby na ich podstawie każdy praktyczny górnik albo technik znaleźć mógł wszystkie wskazówki, potrzebne mu do wykonywania swego zawodu, mianowicie dla wynajdywania pewnych użytecznych minerałów. Zadaniem wysyłanych przez komisję geologów będzie zbadać skład geologiczny skał, ich wzajemny stosunek i względny wiek, zebrać okazy wszystkich widzianych skał, minerałów i skamielin, mogących służyć do uzasadnienia uczynionych wniosków, nadto zwrócić uwagę na przydatność każdej skały lub minerału do celów praktycznych, tudzież zebrać wszelkie wiadomości tyczące się użytku, jaki już teraz z jednej lub drugiej skały robionym bywa. Spostrzeżenia geologów na miejscu zrobione i na kopjach fotograficznych map sztabu jeneralnego oznaczone, będą podstawą do wykreślenia mapy geologicznej Galicji na tle mapy ogólnej w jedenastu kartach według skali 1:28.800. Mapy te geologiczne będzie komisja wydawała częściowo, w miarę jak materjał uzbierany wystarczy do wykreślenia jednej z jedenastu kart. Zebrane zaś okazy minerałów skał i skamielin będą złożone w muzeum Akademji.

Nie zostanie też pominiętem naukowe zbadanie wierzchniej warstwy ziemi, głównie ze względu na jej znaczenie dla gospodarstwa rolnego i leśnego.

Co się tyczy zbadania fauny krajowej, to będzie zadaniem komisji fizjograficznej uzupełnić wiadomości o opracowanych już w części działach i zbadać działy dotąd prawie nietknięte, mianowicie niższych pajęczaków, skorupiaków, robaków i t. d. Zmierzać będzie komisja do tego, aby poznać rozpostarcie zwierząt na przestrzeni kraju, zależność tego od wpływów klimatycznych i innych okoliczności, i będzie też starała się zbadać ekonomię i metamorfozy zwierząt krajowych. Ta ostatnia okoliczność ma szczególniej doniosłe znaczenie nietylko dla nauki ale i dla gospodarstwa krajowego. Niejeden bowiem łatwy i praktyczny środek niszczenia znanych, lub zapobiegania pojawieniu się nowych szkodników znaleźćby można, gdybyśmy znali ich pierwsze stany i sposób życia, gdy tymczasem obecnie zwykle dopiero wtedy, gdy już szkodnik dobrze dał się w znaki, badać trzeba jego rozwój, aby wykryć skuteczne sposoby usunięcia klęski. Nauczyciele i urzędnicy leśni mogą oddać komisji ważne usługi w tej pracy.

Sekcja botaniczna będzie pracowała nad skreśleniem szczegółowego opisu botaniczno-geograficznego całego kraju — nietylko pod względem umiejętnym, lecz niemniej także z uwzględnieniem praktycznych potrzeb gospodarstwa rolnego i lasowego, zamieszczając wskazówki i uwagi, zmierzające do podniesienia gospodarstwa krajowego w tym dziale. Za podstawę tej pracy będzie służył materjał, zebrany na wycieczkach członków, ułożony w dokładny zielnik. Zapoznanie się należyte z wpływami klimatycznemi oraz z właściwościami gruntu we wszystkich okolicach kraju, jego składem chemicznym, stosunkową ciepłotą, przesiąkliwością i własnościami warstwy spodniej, dalej zaś, zanotowanie na mapie wielkości obszarów, zajętych przez bory, lasy, wrzosowiska, zarośla, gaje, dąbrowy; nakoniec zwrócenie uwagi na przyczyny częstokroć uporczywego zachwaszczania gruntu, będzie należało do zadań komisji.

Sekcja chemiczna zajmować się będzie chemicznem badaniem wód studziennych i wód głównych rzek krajowych, tudzież zbadaniem systematycznem glinek, wapieniów, marglów, następnie nafty, wosku ziemnego, łupków żywicznych, węgla kamiennego, torfu, rud i ziemi ornej kraju naszego.

Sekcja meteorologiczna wreszcie stawia sobie za cel wydać klimatologję północnych i północno-wschodnich stoków Karpat, oraz skreślić dokładny obraz działania siły magnetycznej ziemskiej na tej przestrzeni. W tym celu będzie komisja zakładała jak największą ilość stacyj

meteorologicznych, których zadaniem byłoby nagromadzanie dokładnych spostrzeżeń termometrycznych, znaczenie ilości wody opadłej z deszczem, śniegiem i t. d. spostrzeżenia co do mocy i kierunku wiatru, obserwowanie wichrów, burz, trąb powietrznych i wodnych, gradów, piorunów, błyskawic, mgieł gęstych, omroków; na stacjach ważniejszych spostrzeżenia barometryczne, psychrometryczne i ozonometryczne, spostrzeżenia co do czasu rozkwitania roślin, dojrzewania owoców, przylotu i odlotu ptaków wędrownych, zamarzania rzek i pękania lodów, stanu wód w rzekach, a wreszcie zbieranie spostrzeżeń magnetycznych.

Widzimy jak rozległy będzie zakres prac, które nakreśliła sobie komisja fizjograficzna. Nie wątpimy też, że każdy prawy obywatel kraju, który mógłby w czemkolwiek stać się pomocnym komisji w dopełnieniu tego trudnego zadania, współudziału swego jej nie odmówi.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

IV.

Zbytecznem byłoby podobno silić się na opisanie tego co się działo w duszy Konstancji. Każdy czytelnik pojmie to łatwiej niżby mogło opisać najzręczniejsze pióro...

Położenie jej było bez wyjścia. Z zatrzaśnięciem drzwi więzienia zamknął się za nią jakby grób. Była na łasce i niełasce człowieka, po którym mogła się obawiać wszystkiego.

Nie ma jednak tak strasznego nieszczęścia, żeby w niem człowiek nie znalazł jakiegoś promyka pociechy, jakiegoś cienia nadziei, jakiegoś prawdopodobieństwa, że złe minie.

Konstancja miała takich iskierek aż dwie. Wątłe one były i czcze. Opierać się na nich, ufać im, było tyle, co łudzić się dobrowolnie, a przecież w tych dwóch przypuszczeniach, które jej się nasuwały czerpała tę odrobinę otuchy, której duszy ludzkiej zawsze potrzeba, żeby jej nie złamała rozpacz.

Pierwsza z tych pociech, jeżeli ją tak nazwać można, była okoliczność, którą w każdym innym razie byłaby uważała za swoje najstraszliwsze nieszczęście.

— Ten czynownik, ten okropny człowiek — myślała — mówił o denuncjacji, zgadł żem Polka, sprawdzał mój rysopis... Któż wie, może to prawda, może mi nic nie grozi prócz śledztwa i kary pieniężnej... może więzienia... za to, żem przybrała cudze nazwisko, żem się wydała za to czem nie jestem?... Gdyby tak było, to nic jeszcze!...

„To nic jeszcze!“ — te słowa dowodziły jak strasznych obawiała się rzeczy.

Drugą pociechą było to co stanowi jednę z największych przykrości politycznego więźnia w moskiewskim więzieniu: te dwoje oczu sołdackich, które na nią patrzyły przez wykrojone i zabrudzoną szybą opatrzone okienko. Oczy te ukazywały się w szybie tak często i zostawały w niej tak długo, że jej się zdawało, iż są tam bez ustanku, że towarzyszą każdemu jej ruchowi, że śledzą każde jej westchnienie. W pierwszej chwili nie przyszło jej na myśl jak nieznośną stać się może po trochę dłuższym czasie taka natrętna, nieodstępna kontrola, wyobrażała sobie tylko, że jej się nic złego stać nie może, bo jakieś oko nad nią czuwa. To oko ludzkie dziwnym zwrotem myśli wydawało się jej symbolem oka bożego.

To było przyczyną, że po zamknięciu do turmy nie upadła na duchu, że zaczęła myśleć nad środkami ratunku.

Nie powiedziała sobie, że ten ratunek jest niemożebnym, owszem wmawiała w siebie, że nic na świecie nie ma niemożebnego, że człowiek wszystkiego, do czego się energicznie i z ufnością w swe siły weźmie dokonać musi.

Rzuciła okiem na ściany swojej celi, na okno, na drzwi. Ratunku tam nie było żadnego. Marzyć nawet o wyłamaniu się i ucieczce nie było można. Miała jednak przy sobie coś co łamie mury, przepiłowuje kraty i drzwi żelazne więzień rozsadza. Miała pieniądze.

Zwyczajem jest przy osadzeniu kogokolwiek do więzienia rewidować go i odbierać mu wszystko co ma przy sobie, a coby mu do ułatwienia ucieczki posłużyć mogło, zwyczaju tego nie obserwuje się przy zamykaniu do aresztu policyjnego. Czynownik, któremu się podobało kazać zamknąć Konstancję nie wydał rozkazu, żeby dopełniono tej przykrej i upokarzającej ceremonji, odbyło się zatem bez niej, Konstancja miała więc w ręku środek, który jest najpotężniejszym w państwie moskiewskiem.

I skoro tylko przypomniała sobie o tem, postanowiła użyć tego środka natychmiast.

Przystąpiła do okienka i przemówiła do żołnierza:

— *Zapreszczeno razgawariwat'* — odpowiedział

Nie zraziła się tą odpowiedzią.

— A dać wam dziesięć rubli zabroniono? — odrzekła.

I pokazała sołdatowi papierek.

Siwe bez wyrazu oczy za szybą ożywiły się jakimś blaskiem.

— *Niet, e to nie zapreszczeno.*

— Więc otwórz drzwi i weź.

Sołdat usłuchał rozkazu, wszedł. Konstancja dziesięciorublówkę trzymała w ręku.

— Słuchaj, — rzekła do żołnierza, w języku naturalnie moskiewskim, którym władała dosyć dobrze, — ja tobie dam teraz dziesięć rubli, a potem dziesięć razy tyle.

— *Charaszo* — odpowiedział sołdat.

— Ale... pozwól mi uciec.

Żołnierz się wzdrygnął, nic jednak nie odpowiedział tylko wyciagnął rękę po papierek.

Konstancja cofnęła swoją.

— Ułóżmy się... ty się boisz... prawda?

— *Prawda, dajtie etu bumażku.*

— Zaraz... czegóż się boisz... pałek?...

— *Pałok!... dajtie bumażku...*

— Więc słuchaj... ucieknij ze mną... Kiwasz głową... myślisz że cię dogonią... nie bój się... jestem bogata, pieniądze wszystko zrobią... ukryję cię i zrobię cię szczęśliwym na całe życie...

Sołdat słuchał, lecz milczał od czasu do czasu tylko wyciągając rękę po pieniądze.

Konstancja błagała go, zaklinała, tłumaczyła, przekonywała, nie mogła z niego wydobyć nic stanowczego. Zdawało jej się jednak, że go na swoją stronę przechyla.

— Więc przystajesz? — spytała go nareszcie.

— *Dajteż spierwa bumażku.*

— Ależ masz!... sto takich będziesz miał... wyprowadź mnie ztąd.

Żołnierz chwycił papierek i zwrócił się ku drzwiom, nic nie mówiąc.

— Więc idę z tobą — zawołała przestraszona kobieta czepiając się rękawa jego szynieli — musisz mnie ztąd wyprowadzić, zlituj się człowieku!...

Sołdat odepchnął ją brutalnie i dał odpowiedź zawartą w jednym tylko, ale wszelką nadzieja odbierającym wyrazie:

— *Nie lzia!*

Wyszedłszy zatrzasnął za sobą drzwi, zamknął je na klucz i po chwili ukazały się znowu w szybce dwa siwe oczy bez wyrazu, te same oczy, których wzrok z początku wlewał w duszę Konstancji tyle otuchy i nadziei.

— A! — jęknęła kobieta — jestem zgubiona!

Załamała ręce i przez chwilę stała na środku swojej celi więziennej pogrążona w niemej rozpaczy.

Ocknęła się jednakże z tego odrętwienia, przybiegła do drzwi i zaczęła znowu błagać i zaklinać sołdata.

Żołdak moskiewski na wszystkie jej błagania i zaklęcia miał tylko jednę odpowiedź:

— *Zapreszczeno razgawariwat'*

Wyczarpawszy wszystkie usiłowania w celu zmiękczenia tego człowieka, Konstancja chwyciła się ostatecznego środka, a środkiem tym ostatecznym w jej położeniu nie mogło być nic innego, jak to samo od czego rozpoczęła.

Wyjęła znowu banknot, tym razem większej wartości i pokazała go sołdatowi.

Nie zastanawiała się nad tem, że użycie tego sposobu prawdopodobnie może tylko doprowadzić do powtórzenia się tej samej sceny, że dając się tak obdzierać, może się dać obrać ze wszystkiego co miała przy sobie i stracić ostatnią możność ratowania się, ostatnią nadzieję wyzwolenia. Tonący brzytwy się chwyta; dopóki kto w niebezpieczeństwie chwyta się środków ocalenia, chociażby takich, które go ocalić nie mogą, ten jeszcze może wyjść cało, ten jeszcze nie poddał się losowi. Powtarzała to samo co już raz okazało się bezskutecznem, czyniła tak dla tego tylko, żeby sobie jeszcze nie powiedzieć:

— Wszystko stracone!

Na widok nowej „bumażki“ znów jak poprzednio inny, żywszy wyraz przybrały rysy żołnierza, znów ogień zaświecił w jego oczach, inakszy jednak teraz niż poprzednio:

— Chodź! dam ci te pieniądze — rzekła Konstancja.

— *Niet wremeni* — odpowiedział sołdat — *zawtra*.

I odwrócił oczy od szybki.

— Nie ma czasu... jutro! — machinalnie powtórzyła Konstancja.

Słowa te dla niej znaczyły wiele, znaczyły, że sołdat którego datkiem ujęła, przychyla się do jej prośby. Czasu do jutra potrzebował może tylko dla przygotowania środków ucieczki dla niej i dla siebie. Rozsądek kazał pozostawić mu ten czas. Rozsądek mówił, że to jest koniecznem. Turmy prowincjonalne moskiewskie nie są wprawdzie tak urządzone jak wielkie więzienne zakłady, nie strzeże tam każdego wyjścia straż i kto wchodzi albo wychodzi nie musi przechodzić przez kilka takich kwarantan. Konstancja wiedziała dobrze, że wchodząc do swojego więzienia przechodziła tylko przez jedne zamknięte drzwi, że nie widziała żadnej straży prócz tego jednego człowieka, któremu stać kazano u szybki jej więziennego okienka. Wiedziała, że gdyby jej te drzwi jedne otworzono, mogłaby wyjść bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi, a wyszedłszy, raz dostawszy się na wolność, liczyła na to, że się zdoła ocalić jak najszybszą z miasta ucieczką. Władza czynownika który ją aresztował, dalej jak na miasto sięgać nie mogła, za miastem przy pieniądzach mogła znaleźć sprawiedliwość i opiekę. Wiedząc o tem wszystkiem jednakże Konstancja pojąć musiała zarazem, że mimo tych wszystkich okoliczności wyjść przecież nie można z więzienia jak z hotelu, zapłaciwszy rachunek oberkelnerowi, musiała pojąć, że bez pewnych przygotowań ucieczka udać się nie może, że trzeba zrezygnować się i czekać.

— Jutro zatem zostanę ocaloną — rzekła do siebie.

Tak. Jutro miała być ocaloną, jeżeli jej przypuszczenia nie myliły, jeżeli sołdat dla tego tylko nie miał czasu, że się chciał zająć przygotowaniami do ucieczki.

Myśl, że sołdat mógł z innego powodu odmówić jej wzięcia pieniędzy i odejść od okienka, odkładając do dnia następnego dalszą rozmowę, przeraziła ją, starała się jednakże odepchnąć jak najdalej to okropne przypuszczenie od siebie.

O nic nie jest trudniej jak o przekonanie siebie samego, że promyk nadziei który nam zaświtał w nieszczęściu jest tylko wzroku naszego złudzeniem!

— To być nie może! — mówiła do siebie — cóż by mu przeszkadzało obedrzeć mnie teraz z dwudziestu pięciu rubli, tak jak wprzód obdarł z dziesięciu, gdyby mu tylko o obdarcie mnie z pieniędzy chodziło?... Kiedy mu polecono pilnować mnie, toby mu przecież na to czasu nie brakło. Alem go posądziła niesłusznie... to jakiś poczciwy człowiek, który mi chce dopomódz. Jeżeli żądał tak natarczywie pieniędzy, to tylko dla tego, że mu były potrzebne do tych przygotowań jakie miał na myśli. Nie rozmawiał ze mną bo się spieszył zapewne, żeby go kto nie zszedł, że wchodzi ze mną w porozumienie. A teraz poszedł zapewne nie po co innego tylko, żeby wszystko co trzeba przysposobić Jutro zatem będę wolna...

Poczucie, że zostanie ocaloną, stało się prawie pewnością w umyśle Konstanji. Uspokoiła się, powiedziała sobie, że nawet o swojem położeniu myśleć nie będzie, że będzie czekała cierpliwie. Przeniosła się myślą do męża w niewoli, do dziadka na wygnaniu i pocieszała się, mówiąc do siebie:

— Mój Boże! oni przecież nieszczęśliwsi odemnie, im znikąd nie może przyjść otucha, że już jutro będą wolni!

Tak uspokojona po niejakim czasie spojrzała znowu w szybkę umieszczoną na drzwiach więziennych

W szybie tej były znowu oczy, lecz oczy nie te same.

Za drzwiami stał inny żołnierz.

Konstancja spojrzała w nie z przestrachem i w umyśle jej zaczęła się rodzić myśl rozpaczliwa, której już teraz odepchnąć nie była w stanie.

Pierwszy żołnierz odszedł tylko dla tego że zmieniono wartę, dla tego tylko nie miał czasu, i dla tego tylko odłożył wzięcie pieniędzy do jutra, że nazajutrz znów się spodziewał, iż go tam na warcie postawią.

Zachodziło więc pytanie czy użyć z drugim tego samego środka czy czekać.

Czekać było to zaufać zupełnie tamtemu, zdać się na los i z rezygnacją przygotować się na wszystko, co może nastąpić — może na zawód.

Gdyby wiara Konstancji, że pierwszy jej wartownik chce jej dopomódz do ucieczki, nie była nawet już zachwiana przypuszczeniem, że może tylko zmiana warty wywołała odejście żołnierza, który o ratowaniu jej mógł wcale nie myśleć, musiałoby jej zkądinąd przyjść przeświadczenie, że do jutra czekać nie można.

Czekając zostawałaby na łasce tego czynownika, który ją kazał zamknąć. Nie mogła nie zrozumieć jakie ten człowiek miał zamiary — czekając, choćby tylko na ratunek najpewniejszy, pozostawiałaby mu czas na spełnienie tych zamiarów.

Wzdrygnęła się na samą myśl, o niebezpieczeństwie na jakie była narażoną. Zamiar czekania uleciał już zupełnie, postanowiła działać, ale tym razem działać ostrożnie i z rozwagą.

Zakryła sobie dłońmi oczy i w głębokiej pogrążyła się zadumie. Biedna jej głowa nic innego wymyślić nie mogła prócz tego co już było wymyślone, a co pozostało bez skutku — przekupienie żołnierza postawionego na warcie.

Nim jednak pokusiła się o tę nową próbę, która zimnemu rozumowi tak mało mogłaby przedstawiać szans skuteczności, zawahała się, czuła, że ją odwaga opuszcza.

Dodać jej sił mógł tylko Ten, w którego ręku wyłącznie leżało jej ocalenie...

Złożyła ręce, wzniosła oczy do nieba, kolana uchyliły się pod nią i dotknęły zimnej, wilgotnej, ceglanej posadzki więziennej celi.

Chwilę klęczała nieruchoma, potem powolnie podniosła rękę prawą, zrobiła znak krzyża i zaczęła się modlić z całą ufnością i wiarą tak jak się modli do Boga dziecko, które o Nim wie tylko tyle, że to jest ktoś co wszystko widzi i słyszy, że to jest ktoś co wszystko może....

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, bądź wola Twoja...

Modliła się, nie słyszała nic, nie widziała nic z tego co się w koło niej działo. Była w celi więziennej, zamknięta, mając do oddychania tylko kilkadziesiąt sześciennych stóp powietrza, ale duch jej wybiegł w przestworze nieskończone i korzył się przed tym Bogiem, który się światu opowiedział przez swego Syna.

Gdyby po tej modlitwie nie spodziewała się wszystkiego, gdyby nie wierzyła, że jej ta modlitwa da wszystko, czego w tej chwili pragnąć i o co prosić mogła, gdyby w ekstazie bezgranicznej ufności nie była oderwaną od ziemi i od świata, byłaby słyszała może jakiś ruch po za drzwiami, byłaby przypomniała sobie, że ta jej rozmowa ze Stwórcą ma pewnego nieodstępnego świadka i słuchacza.

Tego jednak słyszeć ani przypomnieć sobie i uważać na to nie mogła. Zbyt silnie wierzyła, że do tego źródła znajdzie pociechę i pomoc u którego ich szukała, żeby nie miała stać się obojętną na wszelkie zewnętrzne na wszelkie zmysłowe wrażenia...

Upłynęło na tej modlitwie chwil wiele. Nie liczyła ich Konstancja, liczyć je mógł chyba ten strażnik, który za drzwiami ciekawem okiem każdy jej ruch śledził, i ten Bóg który każdego słowa jej modlitwy słuchał.

Potem wstała i z silnem już postanowieniem, z wiarą że ten krok musi dokonać jej wyzwolenia, zbliżać się zaczęła ku drzwiom, ażeby z tym, którego postawiono przy niej na straży, rozpocząć ostateczne układy.

Zbliżyła się do szybki we drzwiach i błagalnym głosem rzekła.

— Dobry człowieku!...

W tej chwili zasunęła się zasuwka, którą można było zasłonić szybę i te dwoje oczu, które ciągle na nią patrzyły, znikły.

Duszę Konstancji przejęła nagła, nieopisana, potężniejsza od wszelkiej jakiej dotąd doznawała trwoga.

Czuła że się nogi chwieją pod nią, że zmysły odmawiają jej posłuszeństwa.

Czuła że się zbliża moment okropny.

Słuchała chwilę, wzrokiem błędnym patrząc przed siebie.

Z po za drzwi dochodził do niej jakiś przytłumiony odgłos złowrogi.

Po chwili nie mogła już wątpić. Klucz ze zgrzytem przeraźliwym pracował nad otworzeniem drzwi jej więzienia.

Zbliżało się rozwiązanie jej losu. Wątpliwości prawie nie było. Satrapa miasteczkowy, dziki i rozbestwiony Moskal, który spełnił na niej jedno bezprawie osadzając ją w więzieniu, szedł teraz odwidzić swą niewolnicę, szydzić i naigrawać się z niej.

Szydzić i naigrawać się z niej!... gdybyż tylko!...

Szedł jej przynieść hańbę i śmierć.

Wszystkie te myśli w mgnieniu oka przebiegły przez głowę Konstancji.

Chwyciła się rękami za głowę i zasłoniła sobie oczy. Rozsadzało jej czaszkę pytanie straszne, na które nie było odpowiedzi, pytanie krótkie i kategoryczne jak zimna i nieugięta fatalność.

— Co począć?...

Drzwi się otworzyły w istocie i nim Konstancja miała czas odjąć ręce od oczu, wiedziała już że wszedł do jej celi mężczyzna.

*

Mężczyzna ten padł jej do nóg, rękami objął jej kolana i nogi jej okrywał pocałunkami.

Konstancja czuła że duch z niej ulatuje... moment jeszcze a nie byłaby zdolną czuć, myśleć, widzieć, słyszeć, żyć.

Było coś jednak co jej ducha wstrzymywało w odlocie.

Zdawało jej się że u stóp swoich słyszy wyrazy polskie i znanym wymawiane głosem.

— Panienko moja!... panno Kostusiu!... jaśnie wielmożna panienko!...

(C. d n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W tym drugim okresie twórczego zawodu poety (1856—1862), którego najznakomitsze płody powieściowe właśnie rozpatrzyliśmy, mieszczą się także, jak już wyżej powiedziano, jeszcze inne utwory, mniejszych wprawdzie a niekiedy nawet wcale drobnych rozmiarów, z tem wszystkiem jednak godne ze wszech miar bliższego poznania. Z charakteru swego należą one po części do działu epiki, po części zaś są czysto lirycznej natury.

Opowiadaniami, lub też obrazkami powieściowemi w ściślejszem znaczeniu są: *Starosta Żegocki* (1858) — *Sałdat z Cudnowa* (t. r.) — *Uczta Geronowa* (1859) — *Ksiądz Gwardjan Kobylański* (1860) — *Sen króla Jagiełły pod Tannenbergiem* (t. r.) — *Przewodnik w puszczy* (1861) — *Gero na Lachach* (1862), wszystkie oparte na reminiscencjach historycznych.

Starosta Żegocki ma za tło te same wielkie wypadki, z których się złożyły pieśni *Dziewczęcia z Sącza*. Materjału zaczerpnął poeta z pamiętników generała Patrika Gordona. Było to w Babimoście, we dworze pana Żegockiego. Przy stole widzimy liczne grono szlachty, a między biesiadnikami gościem szwedzkiego kapitana. Wszyscy milczący i ponurzy — rozmowa niejednokrotnie wszczynana, urywa się ciągle dla braku dobrego humoru; więc

...choć zabrzęczą nalane kielichy,
Wraca wnet cisza, ucztują jak mnichy.

Usposobienie takie nie trudne do wytłumaczenia: niedola kraju sposępniła umysły. Jeden tylko Szwed był wesoły i rozmowny; ale mu spieszno, bo jechał właśnie do Wojewody zamówić polowanie dla swego landgrafa. Gdy oficer się oddalił, rozwiązały się usta Staroście:

......Wstyd mi ot tej karabeli,

mówił do szlachty, uderzając się po szabli:

Gdyby to nie gość, spisałbym dyląga,
Patrzcie! Szwed żmija! chleb z nim człowiek [dzieli...
Nie dość, że ciśnie.... ha! jeszcze urąga!...

Po tych słowach począł coś cicho radzić z bracią szlachtą z okazji owego polowania. Niebawem posiodłali konie i polecieli jak ptacy.

W drugim ustępie przenosi nas poeta do Kościany, skąd właśnie następującego dnia rano landgraf ze świetnym orszakiem wyruszył na łowy. W miasteczku została szwedzka załoga. W tem niedługo zjawia się Żegocki ze swoimi i wpada na wroga, który po krótkim oporze poddać się musiał. Zdrada Opalińskiego i Grudzińskiego pod Ujściem ciężyła Staroście kamieniem na sercu; toż gdy mu się teraz tak pięknie udało zrąbać najezdnika, zawołał do towarzyszy wesoło:

Chwała bądź Bogu! dotrzymałem słowa!
Ha! Sącz, Tyszowce, Litwa, Częstochowa
I Wielkopolsce już nic nie zarzucą!

Zwycięscy rozgościli się w mieście. Nad wieczorem gdy Szwedzi wracali z polowania, zawrzał nowy bój. Landgraf padł od kuli.

Wieść o tem rozbiegła się w lot i doszła do kwater nieprzyjacielskich. Postanowiono poskromić Kościanę i ukarać zuchwałego Starostę. Po kilkudniowym szturmie zdobyto mury miasteczka, a czterdziestu jeńców polskich uwisło na tyluż szubienicach. Kiedy w ostatniej chwili szlachta, nie widząca ratunku dla siebie, wyrzucała Żegockiemu, że nierozmyślnie ją zgubił, odezwał się bohatyr w te wzniosłe słowa:

Ja żyłem — Bożej prawicy narzędzie;
Teraz upadam — niech mnie Szwed nie skąpi!
Ale upadam jak złamane dłuto,
Którem zaiste wielki posąg kuto...

Cel etyczny tego w całości dość udatnego obrazka jasny i on też tu przeważa. Dla tego celu poświęcił poeta to, co w powieści zwykło znaczniejszą odgrywać rolę; czynnik opisowy zajmuje tu więc podrzędniejsze miejsce.

Sałdat z Cudnowa jest opowiastką jeszcze mniejszych rozmiarów. Ma za przedmiot jedno z owych licznych zdarzeń, nierozgłośnych wprawdzie, a jednak pełnych łez i gwałtownych wstrząśnień, w które obfituje martyrologja narodu. Bernardyni Cudnowscy popadli w niełaskę cara i skazani są na Sybir. Feldjegry mają ich wywieść w kibitkach. Zgromadzony lud z miasta i z okolicy niemą łzą żegna zesłanych. W tem ruszył się z ciżby jeden chłop młody i rosły, a przystąpiwszy do starszego mnicha, ukląkł z prośbą o błogosławieństwo. Wnet go porwano, zakuto w dyby i oddano w sałdaty. Ćwierć wieku dźwigał karabin, był na Uralu i w Tobolsku, nad Bałtykiem, w Wilnie, Warszawie, bił się na Kaukazie. Poeta pomija tę Odysseję tułactwa, a ukazuje nam swego bohatyra starcem, o rzadkim siwym włosie, w wyszarzanym płaszczu żołnierskim i z kijem żebraczym w ręku. Właśnie wrócił z wojska do stron rodzinnych. W Cudnowie nie wiele się zmieniło; tylko przybytek Boży i mieszkanie wygnanych mnichów legły w gruzach i smutnie świecił ślad zniszczenia. Płaczącego

......zgrozą przejęły z kostnicy
deski trumien i rozsiane kości...

Toż pozbierał je i pochował w cześci, a sam kupił sobie lirę i puścił się w świat Boży, na rozległe obszary Ukrainy. Dziwne powieści śpiewał ludziom o swoich przygodach, a młodzież po chatach szalała za jego dumkami. Treść tę prostą i bez dramatycznych zawikłań ujął poeta w odpowiednią formę.

Wdzięczniejszego tematu do podobnego obrazka nastręczyło dziejowe podanie o margrabim Geronie. Postać ta, w historji Mieczysława I dość wybitne zajmująca stanowisko, posłużyła Romanowskiemu do nakreślenia *Uczty Geronowej* i *Gerona na Lachach*, rapsodów o malutkich wprawdzie rozmiarach, ale wykończonych prześlicznie w miniaturowych ramkach. Był ten wróg Słowian na usługach cesarza Ottona;

Miał jasną zbroję i stalowy miecz,
Co w bitwach głowy z karków zmiatał precz.

A wojował krwawo ze wschodniemi ludami;

Nie znał litości, nie tykał go żal —
Niech drży podbity, niechaj znosi dań,
Jeśli mu miła nieprzerznięta krtań!...

Już padły plemiona nad Łabą, a Gero cieszył się, i pił z wielkiego dzbana, i śpiewał psalmy. Niespokojne myśli i chęci uniosły go dalej. Więc dumał, jak przebyć Odrę, boby oto zapragnął ziem lackich, udzielnego tronu i korony. Tak

Marzył — i z rodu króle liczył już...

W tem wpadł do zamku goniec ze straszną nowiną. Lach-Słowianin, co spał dotąd jak niedźwiedź w swych borach, zbudził się nagle, wtargnął do krain świeżo zdobytych, poniszczył Boże świątynie i w grafa Hajka krwi się skąpał. Gerona jednak te wieści nie poruszyły do boju. Szle posłów do lackich książąt, ofiaruje przyjaźń, na ucztę zaprasza. Przybywa ich trzydziestu na murowany dworzec margrafa. Jakież wspaniałe postacie!

......szczera lacka krew
Otwarte lica, w źrenicach błękity,
U bioder szable, a na głowach szczyty.

Zastawiono stoły, usiedli, rozweseliły się serca. Lecz oto śród gwarnej radości na dany znak uderzają pachołcy Geronowi na biesiadników i mordują bezbronnych. Tak pozbył się Gero nieprzyjaciół, z którymi miał wojować; więc

.....*De profundis* śpiewał o zachodzie...
A potem senną głowę wsparł na łonie,
I o złocistej zamarzył koronie.

Wieść o zdradzie zaleciała do chat lackich i płakał lud swoich książąt. A margraf radował się wielce i rzekł do syna: „Teraz mój Sygfrydzie czas pomyśleć o sobie. Otton niech panuje po Łabę; my zaś idźmy na Lachów czerń, pobijem łatwo naród bez wodzów, i panowanie nasze świetniejsze będzie, niż Ottonowe.“ Ale młody Sygfryd, w którym szlachetniejsza krew płynęła, nie dzielił nadziei ojcowskich. „Śniły mi się — rzecze do rodzica — twarze pomordowanych; zła to wróżba. Twój szał zgubi ciebie i mnie.“ Nic wszelako nie pomogły przełożenia i stanął bój ze Słowiany. Z licznemi hufcami ruszyli w pochód, zagarniają ziemie i grody, przelękły lud do kolan im się gnie. Lecz Sygfryda nie cieszy bliska korona, zły koniec przeczuwa jego serce. Przybyli do Lachów. Mieszko ich wodzem i oto właśnie wyszedł sam na spotkanie z Geronem. W zaciętej walce padł Sygfryd, niemieckie hufy poszły w rozsypkę, a margraf gdy wrócił,

......zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął,
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub,

Potem dla syna wymurował grób,
I wraz z synową klękał na tym grobie,
I płakał rzewnie, i.... złorzeczył sobie!...

Przewodnik w puszczy należy do rodzaju gawęd i w ich liczbie stanowi prawdziwą perłę. Opowiadającym jest pułkownik Olszewski, Kościuszkowski żołnierz, legjonista, pątnik do Rzymu i do Ziemi świętej. Przedmiotem gawędy są własne przygody bohatyra z owej chwili, kiedy zaledwie wyleczony z ran otrzymanych pod Maciejowicami, przedzierał się do legjonów. Była jeszcze sroga zima, gdy się puścił sam w tę daleką podróż. Do Kutna wiodła go droga przez puszczę. Już padał ciemny zmrok, kiedy przybył na brzeg lasu. Tu stała samotna chatka wieśniaka, u którego gościnne znalazł przyjęcie. Gospodarz w siermiędze sam niedawno służył pod Dąbrowskim, a druha po mieczu, któremu spieszno było do narodowych szeregów, nie rad wypuścił. Toż skoro nie pomogły perswazje, ażeby przeczekał do wiosny, opisał drogę, pobłogosławił i pożegnał. Poszedł zatem Olszewski, tylko lekkim kosturem uzbrojony, i wstąpił w posępną otchłań lasu. Jakaś złowroga groza wiała z jej wnętrza od zimnych śniegów, a

....ten szum ponury, ta samotna droga,
Te jodeł kolumnady, co stały przedemną
Smutne, gdzieś w nieskończoność wijące się ciemną,
Te zwieszone z gałęzi śnieżyste kotary,
Które tu dzień już złocił, tam gubił mrok szary;
I jałowce pod śniegiem stojące jak duchy,
I ten zalatujący czasami ryk głuchy —
To wszystko, dziś ja żołnierz z wstydem wyznać [muszę,
Taką zgrozą ziębiącą owiało mi duszę,
Że stanąłem jak wryty, myśląc, że szatani
Prowadzą mię umyślnie w bezmiar tej otchłani....

Więc chciał już wracać do gościnnej chaty, ale wstyd przed samym sobą nakazywał iść dalej. Pierwszą noc spędził na pochyłej jodle w czuwaniu walcząc ze zmorą snu i patrząc na dziki taniec głodnych wilków, które ze złości skakały ku niemu, aby go dostać. Drugiego dnia nad wieczorem już spodziewał się ujrzeć Kutno, lecz poznał ze strachem, iż zbłądził. Trzeba było jednak iść naprzód, choć noc zapadała i znużenie ciężyło na powiekach; bo sen, to śmierć! W tem obaczył wilka i stanął — zwierz także zatrzymał się na miejscu. Stali tak, gdy wilk ruszył się, postąpił bliżej i spojrzał nań dziwnie swemi świecącemi oczyma. Nie było w nich nic a nic dzikości. Potem paszczęką lekko pociągnął stojącego za połę sukni, dając znak, by szedł za nim. Poszedł — i o cudo! wilk szczęśliwie wyprowadził go z puszczy. Tu się kończy opowieść, którą zamyka uwaga, iż ktokolwiek

.........dobrej sprawie służy,
Niech się nigdy nie lęka przygód, ani burzy,
Ani przepaści, które stawiają zagrody,
Ani dzikiego zwierza, ani bystrej wody,
Ani od zwierząt często sroższych dzikszych — ludzi!

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

ČZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Kiedy miał przygotowywać prelekcję, najczęściej w wilję dnia wieczorem przechadzał się po salonie, a żona grywała mu Mozarta godzinami całemi, Mozarta bowiem, Bethovena i Haydna, przekładał nad wszystkich kompozytorów. Szczególniej „Don Juan“ i „Flet czarnoksięski“ Mozarta, ulubionemi były dlań utworami. Pod wpływem muzyki urabiał w duchu materjał prelekcji, notat nigdy nie robił — i nazajutrz, po nasłuchaniu się gry fortepianowej swej żony, wychodził rano z prelekcją gotową.*)

Prelekcje więc Mickiewicza miały charakter genialnych improwizacyj, w których na całość świetną, potężną, składały się: wiedza i natchnienie, myśl głęboka filozofa, i jasnowidzenie poety. Temi prelekcjami przyciągał wszystkie ku sobie umysły głębsze. „Pisarze francuscy starali się przejmować od niego tę świeżość pojęć, to bogactwo poezji, jakie im sypał w języku zdradzającym cudzoziemca, obrażającym częstokroć ucho Paryżanina: lecz wyborna rzecz przez się, ćmiła niedostatki powierzchownej szaty. George Sand, Balzac, Michelet, Quinet, szczególniej ci dwaj ostatni, żywili się okruchami tego homerycznego stołu....“ „Z ust wieszcza rzadko wyszło coś takiego, coby nie otworzyło dróg mądrości, coby nie rozgrzałoj duszy, jeżeli była zdolną rozgrzania“... „Najbardziej zaś to uderzało w jego poglądach, że natrafiał na takie miejsca w kronikach lub pieśniach, co podniesione przez niego, wylatywały w górę jak race i rozświetlały cały horyzont zamarłych wieków, w bliższych zaś, palcem zawsze namacał najsilniej bijące tętno. Zgoła wcielał zamarłe słowo“**)

Profesor Ampére, hr. Montalembert, Salvendy, Michelet, Sainte-Beuve, George Sand — byli najgorętszymi wielbicielami poety, i zasiadali między słuchaczami profesora.

Do takich świetnych rezultatów, niewątpliwie przyczyniła się poniekąd mistyczna wiara Mickiewicza, która go ożywiała, która dawała mu siłę myśli, potęgę natchnień, moc słowa. Na uczcie urządzonej na jego cześć w dzień Bożego Narodzenia 1840 r. a zatem zaraz po pierwszej prelekcji, w improwizacji swojej powiedział: „Oto jeszcze nie dawno, kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiej przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mię odbiegli, odstąpili, rozumiejąc — żem się porwał na rzecz, której nie podołam. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym języku, inni o zbytek miłości własnej mię obwiniali, a nie wiedzieli, że o t o t u (pokazując na serce) tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłumaczyć.“

Widzimy z tego, że potęga poznawania, potęga wiedzy, czyli rozum i wyobraźnia zarazem, do szczytu potęgi rozwinęły się u Mickiewicza w prelekcjach, a dopokąd w duchu prelegenta dotrzymywały sobie równowagi, czyniły dzieło jego prawdziwie wielkiem; ku końcowi atoli wyobraźnia wybiegać zaczęła przed rozumem, a na to wpłynął zjawieniem się swojem Towiański.

IV.

(*Andrzej Towiański — Jego przeszłość. — Wyjazd za granicę. — Przybycie do Paryża. — Mickiewicz. — Napoleonizm. — Cudy Towiańskiego. — Dziadów część III. — Dedukcje. — Mickiewicz uwierzył w posłannictwo „mistrza.“*)

Andrzej Towiański urodził się około 1790 r. na Litwie. Niektórzy z przodków jego, dość wybitne za Rzeczypospolitej zajmowali stanowiska, a jeden z nich skoligacił się nawet z książęcą mitrą Lubomirskich. Andrzejowi już tylko mały majątek dostał się w spuściznie. Uczęszczał do szkół w Wilnie, lecz zdala miał się trzymać od umysłowego ruchu pomiędzy młodzieżą. Ci, co go znają z ławek szkolnych, jednogłośnie zgadzają się na to, że nie odznaczał się żadnemi większemi zdolnościami za młodu. W powstaniu 1830 r. nie brał udziału, tem się z tego tłumacząc później, że Matka Boska mu się objawiła, i zapowiedziała nieszczęśliwy koniec ówczesnego usiłowania narodu. Innych nawet wstrzymywał od udania się do obozu. Malarz Wańkowicz opowiadał później w Paryżu, że już zupełnie uzbrojony wybierał się na pole walki, gdy Towiański zatrzymał go opowieścią o tem objawieniu się Matki Boskiej.

Przypuszczać należy, że już wrodzoną posiadał skłonność do marzycielstwa, która rozwinąć się była mogła w czasie, gdy w młodości swej zagrożony był zupełną utratą wzroku. Człowiek kalectwem takiem dotknięty, a choćby jeno zagrożony, łacno popaść może w zadumę; myśl jego rwie się pochopnie w świat egzaltacji; świat zewnętrzny oddziela się tu od świata wewnętrznego człowieka i niedziwota, że w tym wewnętrznym świecie dzieją się później rzeczy, ze światem rzeczywistym niezgodne, że snują się w myśli senne widziadła imaginacji. Ztąd też bierze się u wielu ludów takie poszanowanie dla ociemniałych starców - lirników. Ślepota ciała, ma być według mniemania ludu, jasnowidzeniem ducha. — Wyzdrowiał wprawdzie Towiański, ale w duszy została mu ekscentryczność, widziadła trapić go nie przestawały, marzył — uginał się cały pod marzeniami, aż wzięły one górę nad jego jestestwem. W jednem z pism wileńskich, znajduje się artykuł jego pióra w r. 1820, na temat wizjonerski napisany.

Głównem znamieniem jego marzycielstwa była wiara w objawienia, w natchnienia Boże, które mu się udzielać miały, ztąd też tu i owdzie na Litwie, uważać go zaczęto za człowieka cierpiącego na obłąkanie. Przebywał nawet z tego powodu czas jakiś w szpitalu, lecz skoro nie stawał się szkodliwym i niebezpiecznym nikomu, wypuszczono go i zupełną zostawiono mu wolność. Ta wiara w objawienia i wizje u Towiańskiego, da się łatwo wytłumaczyć podobnemi temu wypadkowi zjawiskami, z jakiemi i za dni naszych spotykać się tak łatwo. Tak zwani spirytyści ciekawy w tym względzie przedstawiają przedmiot dla antropologa. Wszakże przed laty kilkunastu, prawdziwą rewolucję umysłową wywołało krążenie stolików i to w chwili właśnie, gdy najmniej się było można spodziewać tak zabawnego sposobu łączenia świata zmysłowego ze światem duchów. Całe to bałamuctwo, jak „odomagnetyczne listy“ Reichenbacha, teorja o senzytywach, stoliki wirujące, pukanie duchów itd. wypływające częścią z prawideł świata przyrodniczego, częścią z szarlatanerji, obałamucały nawet ludzi z wykształceniem, zamieniały się w prawdziwą epidemję zabobonu, podsycanego lekkomyślną łatwowiernością. Ekscentryczność Towiańskiego pod tym względem, nie jest więc czemś wyjątkowem, czemś — coby nie miało analogicznych sobie objawów.

Obok wrodzonej do marzycielstwa pochopności i owego kalectwa wzroku, doszedł do ekscentryczności jeszcze i drogą rozmyślań religijnych. Zatapianie się w sprawach teologicznych,

*) Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu, przez Marję Gorecką. Warszawa 1875.

**) Łucjan Siemieński. Adam Mickiewicz, wspomnienie pozgonne. Kraków 1856.

naciąganie dogmatów do miary rozumowania, zwłaszcza gdy marzycielski umysł tego się podejmie, doprowadzają do wybujałych definicyj. Towiański upatrywał w religji nie jedno, co się już nie dostraja do rezultatów nowszej wiedzy; zaś w pochodzie cywilizacji, widział zupełne zboczenie z dróg chrześcijańskich. Religję poprawić nowoczesną wiedzą, ducha dziejów oczyścić w chrystjanizmie, zdawało mu się, widać, rzeczą łatwą i jemu przeznaczoną. Czytał snać wiele i gorliwie, ale — że nie umiał sobie zdać sprawy z tej swojej lektury, że brak mu było zupełnie zmysłu krytycznego, to już to samo dowodzi, że nie zdobył się nigdy na system jasny, wyraźny, stale określony. On sam sobie nie umiał żadnego postawić kryterjum, i jak się okaże później: często dziś to mówił, czemu jutro zaprzeczał. Była to fantazja rozkołysana marzycielstwem, zasycona połamaną sciencją, chwiejna, ruchliwa, dążąca na oślep — bez dobrze pojętego celu, nie licząca się z własnemi siłami, ale działająca w najlepszej wierze, o czem później pomówić będzie nam potrzeba.

Przez sito swej doktryny przesiewał zasoby wiedzy i umiejętności i artykuły wiary. „Jedne z nich przyjmował jak są, drugie wykładał po swojemu, i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wiarę i wiedzę, i religję i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki, jak mistrze świata tego i stawić ich wszystkich jako zastęp kierowany jednem poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczem są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo miljonogłowy, a jeden...“*)

Zajął się też budową kościoła, w którymby wszystkie religje, wszystkie wyznania, nabożeństwa swoje odprawiać mogły, ale rząd rossyjski zniweczył to dzieło. Stosunki z mistykami, nie mało też wpłynąć musiały na jego umysł. „Towiański był najściślejszym przyjacielem i uczniem mistyka żyda Albrechta, który r. 1834 za swe przepowiednie odsiedział areszt w Saksonji, a wypuszczony, rozgłaszał w r. 1840 swe proroctwa we Francji drukiem i słowy.“**)

W ten sposób wyegzaltowany Towiański, rozpoczął na Litwie propagandę na korzyść swej doktryny, gdzie grunt zdawał się być dostatnio po temu przygotowany, jeżeli sobie przypomnimy, co się już powyżej o mistycznym kierunku młodzieży wileńskiej powiedziało. Że jednak na tym gruncie nie wiele mógł zdziałać, to — jak mniemam — ztąd pochodziło, że tak postawieniem się wobec powstania i obojętnością patrjotyczną, jako też stanowiskiem swojem urzędowem, mniej niż było potrzeba obudzał zaufania; a powtóre, że z rozproszeniem się młodzieży wileńskiej, bądź na wygnaniu, bądź na emigracji — i śród srożenia się zemsty rządu rossyjskiego po r. 1830 przygasła wszelka ruchliwość umysłowa i odwaga do jakiejkolwiek akcji. Dwóch atoli wiernych, wielce gorliwych znalazł zwolenników. Byli to: Dr. Ferdynand Gut szwagier Towiańskiego, i wspomniany już malarz Walenty Wańkowicz. O pierwszym z nich powiada Dr. Cybylski:*) „Ja sam miałem sposobność poznać go (Dr. Guta) w r. 1832; jego religijna egzaltacja była już wówczas taką, że starał się każdego na nią nawracać. Odbywał on często podróże do krajów czeskich, starając się tam swe marzycielstwo rozszerzyć. Jakiś czas wpływ pewien wywierał na Skrzyneckiego.“ (C. d. n.)

*) Antoni Małecki. Juljusz Słowacki jego życie i dzieła. Lwów 1867. T. II str. 207.

**) Rozmaitości. Dodatek do Gaz. lwowskiej r. 1859 str. 354. (Jedyna dotąd, zupełnie wyczerpująca dotychczasowy materjał, monografja Mickiewicza przez K. Estereichera, wydana pod pseudonimem.)

*) Odczyty o poezji polskiej w XIX wieku T. I. str. 185.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

T a j e m n i c a.

Rozdział XII.

(Ciąg dalszy.)

(Zbadanie Półwyspu Wężowego. — Obozowisko przy ujściu Potoku Katarakty. — O sześćset kroków od zagrody. — Gedeon Spilett i Pencroff wysłani na zwiady. — Powrót ich. — Naprzód! — Otwarte drzwi. — Światło w oknie. — Przy blasku księżyca.)

Następny dzień 18. lutego poświęcono zbadaniu całej tej części lesistej, która stanowiła pobrzeże, począwszy od Przylądka Wężowego aż do Potoku Katarakty. Osadnicy przejrzeli starannie ów las, zamknięty dwoma pobrzeżami półwyspu Wężowego, a którego szerokość w rozmaitych punktach wynosiła 3 do 4 mil.

Wzrost i gęstość gałęzi na drzewach świadczyły o potędze wegetacyjnej gruntu, przejmującej tu jeszcze większem podziwieniem, niż w którejkolwiek innej części wyspy. Rzekłbyś, że to jakiś zakątek z owych lasów dziewiczych Ameryki lub Afryki środkowej, przeniesiony w umiarkowane strefy. Okoliczność ta także naprowadzała na ślad, że pyszna ta roślinność musiała znajdować w tej ziemi — wilgotnej po wierzchu, ale wewnętrznie rozgrzanej przez wulkaniczne ognie, gorąco nie będące zwykle właściwością umiarkowanego klimatu. W największej ilości znajdowały się tu kaurysy i cukalyptusy dochodzące olbrzymich rozmiarów.

Podziwiać jednakże te wspaniałości roślinne nie było bynajmniej w danej chwili celem osadników. Wiedzieli dobrze, że pod tym względem wyspa Lincolna mogłaby zająć miejsce w grupie owych wysp kanaryjskich, którym na pierwszy chrzest dano imię „Szczęśliwych.“ Niestety! obecnie już ta wyspa nie należała do nich wyłącznie, inni wcisnęli się do niej, deptali po niej zbrodniarze, których trzeba było wyniszczyć do szczętu.

Na wschodniem wybrzeżu nie napotkali już osadnicy żadnych śladów, mimo najtroskliwszych poszukiwań. Nie było już nigdzie znać nóg odciśniętych, ani nacięć na drzewach, ani wystygłych popiołów, ani opuszczonych obozowisk.

— Nie dziwi mnie to bynajmniej — rzekł Cyrus Smith do towarzyszy. — Rozbójnicy wylądowali w okolicach Przylądka Rozbitków i rzucili się natychmiast w lasy Zachodniej Ręki, po przejściu przez błota Tadornów. Szli więc prawie tą samą drogą, którą i my, wyszedłszy z Pacu Granitowego. Tem się tłumaczą ślady, któreśmy napotkali w lasach. Znalazłszy się jednak na wybrzeżu, korsarze pojęli to dobrze, że nie masz tu dla nich odpowiedniego schronienia i wówczas to skierowawszy się ku północy, odkryli zagrodę...

— Gdzie prawdopodobnie znowu powrócili — rzekł Pencroff.

— Tegobym nie myślał — odpowiedział inżynier — powinniby bowiem przypuszczać, że poszukiwania nasze skierują się ku tej stronie. Zagroda może być dla nich miejscem zaopatrzania się w zapasy żywności, nie zaś punktem stałego obozowiska.

— I ja podzielam zdanie Cyrusa — ozwał się korespondent. — Wedle mnie korsarze obrali sobie kryjówkę pomiędzy skałami góry Franklina.

— Ruszajmy więc, panie Cyrusie, prosto do zagrody — zawołał Pencroff. — Trzeba nam wreszcie z nimi skończyć, bo dotychczas tośmy tylko czas marnowali!

— Nie, mój przyjacielu — odrzekł inżynier. — Zapominasz, że musimy się dowiedzieć, czy w lasach Zachodniej Ręki nie znajduje się jakie mieszkanie ludzkie. Wyprawa nasza ma przecież podwójny cel, Pencroffie. Prawda, że z jednej strony mamy zbrodnię do ukarania, z drugiej jednak spełnienie obowiązku wdzięczności na nas cięży!

— To mi się nazywa pięknie mówić, panie Cyrusie — zawołał marynarz. — Bądź co bądź jednak, mnie się zdaje, że nie odszukamy tego dżentelmena pierwej, aż sam zechce!

I zaiste, mówiąc to, Pencroff wypowiadał przekonanie ogólne. Prawdopodobnie bowiem schronienie nieznajomego było równie tajemnicze, jak on sam.

Tego wieczora wózek zatrzymał się przy ujściu Potoku Katarakty. Nocleg urządzono, jak zwyczajnie, z zachowaniem zwykłych środków ostrożności.

Harbert stawszy się znowu młodzieńcem silnym i zdrowym, jak przed chorobą, korzystał z roskoszą z pobytu na otwartem powietrzu, wśród powiewów od Oceanu i ożywiającej atmosfery lasów. Nie zajmował już miejsca na wózku, ale na czele karawany.

Nazajutrz 19go lutego osadnicy opuściwszy wybrzeże, na którem po za ujściem rzeki skupiały się malowniczo bazalty rozmaitych kształtów, udali się za biegiem rzeki, lewem jej wybrzeżem. Droga była już oczyszczoną w części za poprzednich wycieczek, odbytych z zagrody ku wschodniemu wybrzeżu. W tej chwili osadnicy znajdowali się w odległości sześciu mil od góry Franklina.

Plan inżyniera był następujący: przepatrzeć szczegółowo całą dolinę, której kotlina tworzyła łoże rzeki, i z wszelką ostrożnością dotrzeć aż w okolice zagrody. Jeżeli zagroda będzie zajętą, odebrać ją siłą; jeżeli zaś nie będzie — oszańcować się w niej i zrobić ją ogniskiem operacyj, mających za cel zbadanie góry Franklina. Plan ten jednogłośnie przyjęli osadnicy i zaprawdę, spieszyło im się objąć w zupełne posiadanie swoją wyspę!

Ruszyli więc dalej ciasną doliną, dzielącą dwie olbrzymie ściany góry Franklina. Drzewa stojące gęsto na wybrzeżu rzeki, rzedniały przy zbliżaniu się do części wyższych wulkanu. Grunt tu był pargórkowaty, dosyć nierówny, sprzyjający zasadzkom. Powiększono tedy w pochodzie środki

ostrożności. Top i Jow biegli przodem jak czatownicy, i rzucając się to w lewo to w prawo w gęstwinę, współzawodniczyli w zmyślności i zręczności. Nic jednak nie wskazywało, ażeby brzegi rzeki miały być zwidzanemi przez kogoś w najnowszych czasach, nic nie zapowiadało obecności lub bliskości korsarzy.

Około 5ej wieczorem, wózek zatrzymał się, o sześćset mniej więcej kroków od palisady, otaczającej zagrodę. Zasłona półkulista z drzew ukrywała ją jeszcze przed okiem przybywających.

Przedewszystkiem szło o przekonanie się, czy zagroda jest zajętą. Udać się do niej bowiem wprost przez odkrytą przestrzeń, było to narazić się może na strzał, w przypadku, jeżeli korsarze gdzieś się zaczaili, jak się to wydarzyło Harbertowi. Lepiej więc było zaczekać aż do nadejścia nocy.

Tymczasem Gedeon Spilett chciał, nie zwlekając dłużej, przekonać się o stanie zagrody, a Pencroff zniecierpliwiony ofiarował mu się za towarzysza.

— Nie, moi przyjaciele — ozwał się inżynier. — Czekajcie nocy. Nie pozwolę się żadnemu z was narazić w jasny dzień.

— Ależ panie Cyrusie... — zaczął marynarz niezbyt skłonny do posłuszeństwa.

— Proszę cię o to Pencroffie — rzekł inżynier.

— Więc niech i tak będzie! — zawołał marynarz i zwracając w inną stronę gniew swój, obsypał rozbójników najgrubszemi przymiotnikami z marynarskiego dykcjonarza.

Pozostali więc osadnicy w około wózka, zwracając baczną uwagę na pobliskie lasy. Tak minęły trzy godziny. Wiatr ucichł i najzupełniejsze milczenie zapanowało pod wielkiemi drzewami. Złamanie się najmniejszej gałązki, szelest kroków po suchych liściach, przesuwanie się węża pomiędzy trawami można było z łatwością posłyszeć. Wszystko spoczywało. Zresztą Top leżący na ziemi, z głową opartą na łapach, nie zdradzał najmniejszego niepokoju.

O 8mej zdawało się, że dosyć już jest ciemno do podsunięcia się pod zagrodę w pomyślnych warunkach. Gedeon Spilett oświadczył, że gotów wyruszyć w towarzystwie Pencroffa. Cyrus Smith zgodził się na to.

Top i Jow mieli zostać z inżynierem, Harbertem i Nabem. Łatwo bowiem szczeknięcie lub krzyk mogły zbudzić czujność nieprzyjaciół.

— Nie zapuszczajcie się zbyt daleko — zalecił Cyrus Smith marynarzowi i korespondentowi. — Zadaniem waszem nie jest opanowanie zagrody, ale przekonanie się, czy zajęta lub nie.

— Tak też postąpimy — rzekł Pencroff.

I ruszyli obadwaj.

Pod drzewami, dzięki gęstości liści i gałęzi, rodzaj zmroku czynił przedmioty wszystkie niewidzialnemi po za promieniem czternastu do piętnastu stóp. Korespondent i Pencroff, zatrzymując się za każdym podejrzanym szelestem, z największą ostrożnością tylko posuwali się naprzód. Szli w pewnem oddaleniu od siebie, ażeby przedstawiać mniej wydatny cel dla wystrzału. Co prawda bowiem, spodziewali się lada chwila usłyszeć gwizd kuli.

W pięć minut, po odejściu od wózka, doszli obadwaj czatownicy do skraju lasu i stanęli przed polanką, w głębi której widać było palisadę zagrody.

Tu się zatrzymali. Kilka błędnych promieni oświetlało jeszcze łąkę, ogołoconą z drzew. O trzydzieści kroków odległości czerniała brama zagrody, jak się zdawało, zamknięta. Te to trzydzieści kroków właśnie, oddzielających Polankę od palisady, stanowiły pas niebezpieczny. I w istocie, jedna lub kilka kul wysłanych ze szczytu palisady, mogły położyć trupem każdego, ktoby się na tę przestrzeń otwartą wysunął.

Gedeon Spilett i marynarz nie należeli bynajmniej do ludzi cofających się przed podobnem niebezpieczeństwem, pojmowali jednak, że najmniejsza nierozwaga z ich strony, którejby się stali ofiarami, odbiłaby się następnie na towarzyszach. Gdyby się dali zabić, cóżby się stało z Cyrusem Smithem, Nabem, Harbertem?

Mimo jednak tych wszystkich refleksyj Pencroff rozdrażniony i czujący się tak blisko zagrody, w której przypuszczał, że rozbójnicy się ukryli, już miał poskoczyć naprzód, gdy silna ręka korespondenta osadziła go na miejscu.

— Za kilka minut stanie się całkiem ciemno — szepnął Gedeon Spilett marynarzowi do ucha — i wtedy będzie odpowiednia chwila do działania!

Pencroff, gniotąc konwulsyjnie kolbę swego karabina pohamował się i pozostał w miejscu pomrukując.

Wkrótce ostatnie pobłyski zachodu zgasły zupełnie. Mrok zdający się wychodzić z gęstwiny lasu, zalał całą łączkę. Góra Franklina zasłoniła jak olbrzymi ekran horyzont zachodni i w mgnieniu oka zapanowała nieprzebita ciemność, jak się to zwykle zdarza w okolicach położonych pod tą szerokością geograficzną. Nadeszła chwila właściwa.

Korespondent i Pencroff, od czasu zatrzymania się na skraju gęstwiny, ani na chwilę nie spuścili z oka palisady. Zagroda wydawała się zupełnie opuszczoną. Wierzch palisady przedstawiał linję nieco czarniejszą od otaczających ją ciemności, a nic jednostajności tej linji nie przerywało. Tymczasem, jeżeli korsarze znajdowali się w zagrodzie, to powinni byli ustawić w tem miejscu na straży jednego ze swoich, dla zabezpieczenia się od niespodzianki.

Gedeon Spilett ścisnął silnie dłoń swego towarzysza i obadwaj czołgając się, posunęli się ku zagrodzie, z bronią gotową do strzału.

Doszli aż do bramy zamykającej ogrodzenie, a najmniejsze światełko nie przebiło dotąd mroków.

Pencroff popróbował popchnąć bramę, ale znalazł ją, jak tego zresztą on i korespondent się domyślali, zamkniętą.

Jak się jednakże przekonał marynarz, zewnętrznych rygłów nie zasunięto. Można więc było ztąd wnosić, że korsarze znajdują się w zagrodzie, i że prawdopodobnie obwarowali tak bramę, ażeby jej niepodobna było wyłamać.

Gedeon Spilett i Pencroff wytężyli słuch.

Najmniejszy szelest nie dochodził z wnętrza. Barany i kozy, zapewne śpiące już po obórkach, nie przerywały bynajmniej ciszy nocnej.

Nie słysząc tedy nic, korespodent i marynarz zadali sobie pytanie, czy mają wedrzeć się na palisadę i przez wierzch wejść do zagrody. Sprzeciwiało się to instrukcjom Cyrusa Smitha.

Prawda, że operacja ta mogła się udać, ale i chybić także mogła. Otóż, jeżeli korsarze ani nie podejrzywali niczego, jeżeli nie wiedzieli zupełnie o skierowanej przeciw nim wyprawie, jeżeli słowem przedstawiała się w tej chwili możebność zajścia ich znienacka, wolnoż było narazić się na stratę tej możebności, próbując nierozważnie wdarcia się przez wierzch palisady?

Korespondent nie był tego zdania. Za roztropniejszą rzecz uważał poczekać, aż zbiorą się wszyscy i wtedy dopiero próbować wejścia do zagrody. Tę pewność uzyskali, że można było dojść aż do samej palisady, nie będąc widzianym, i że całe ogrodzenie zdawało się być bez straży. Po uspokojeniu się tedy co do tego punktu, szło tylko o powrócenie do wózka — a tam już naradzą się razem, co czynić dalej.

Pencroff podzielał widocznie to zapatrywanie się korespondenta, poczołgał bowiem za nim bez wszelkich uwag, napowrót pod cień lasów.

Za kilka minut inżynier znał już całe położenie rzeczy.

— Tak — rzekł po chwili namysłu — a więc zdaje mi się, że korsarzy nie ma w zagrodzie.

— Dowiemy się o tem napewno, przedarłszy się przez palisadę — odpowiedział Pencroff.

— Do zagrody więc, moi przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith.

— A wózek, czy zostawimy w lesie? — spytał Nab.

— Nie — odrzekł inżynier — to nasz furgon z żywnością i amunicją, a w razie potrzeby może nam służyć i za szaniec.

— Naprzód więc! — ozwał się Gedeon Spilett.

Za chwilę wózek wyprowadzony z lasu począł się toczyć bez szelestu ku palisadzie. Ciemność była głęboka, cisza taka sama, jak w chwili gdy Pencroff z korespondentem oddalili się czołgając. Gęsta trawa tłumiła całkiem odgłos kroków.

Osadnicy mieli się w pogotowiu do strzału. Jow, na rozkaz Pencroffa, trzymał się z tyłu. Nab prowadził Topa na smyczy, ażeby nie mógł wyskoczyć naprzód.

Wkrótce pokazała się polanka. Pusto na niej było. Bez wahania maleńka gromadka posunęła się ku ogrodzeniu. W krótkim czasie przebyli niebezpieczny pas. Żaden strzał ich nie powitał.

Przed samą palisadą zatrzymano wózek. Nab pozostał przy onaggasach, trzymając je na wodzy. Inżynier, korespondent, Harbert i Pencroff ruszyli ku bramie, dla przekonania się, czy zabarykadowana z wewnątrz....

Jedna połowa była na oścież otwarta!

— Cóżeście mi więc mówili? — spytał inżynier, obracając się do marynarza i Gedeona Spiletta.

Na twarzach obudwu malował się wyraz najwyższego osłupienia.

— Jak pragnę zbawienia — zawołał wreszcie Pencroff — brama ta była zamknięta przed chwilą!

Wobec takiego zwrotu rzeczy osadnicy się zawahali. Czyż więc korsarze znajdowali się w zagrodzie w chwili, gdy Pencroff i korespondent przybliżyli się do niej na zwiady? Tak jest, niepodobna było wątpić nawet o tem, bramę bowiem wówczas zamkniętą, oni tylko mogli otworzyć. Znajdująż się jeszcze wewnątrz domu, czy też w tej chwili właśnie wyszli.

Wszystkie te pytania przesunęły się błyskawicznie przed myślą osadników — a gdzież było znaleść na nie odpowiedź?

Wśród tego Harbert, który się wysunął

o kilka kroków naprzód w głąb ogrodzenia, cofnął się żywo i pochwycił za rękę Cyrusa Smitha...

— Co to? — spytał inżynier.

— Światło!

— W domu?

— Tak!

Wszyscy pięciu rzucili się ku bramie i w istocie przez szyby okna położonego na przeciwko nich ujrzeli drżące słabe światełko. Cyrus Smith powziął szybką decyzję.

— Oto jedyna sposobność — zawołał -- zaskoczenia korsarzy zamkniętych w mieszkaniu i niespodziewających się niczego!.... Mamy ich w łapce! Naprzód!

Na to hasło wśliznęli się osadnicy w ogrodzenie, z bronią gotową do strzału. Wózek pozostawiono zewnątrz pod strażą Topa i Jowa, których przywiązano do niego przez ostrożność.

Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett, z jednej strony. Harbert i Nab z drugiej, przesuwając się wzdłuż palisady, nie spuszczali z oka części zagrody pogrążonej w ciemności i zupełnie pustej.

W kilka minut, znajdowali się już wszyscy koło domu, przede drzwiami — zamkniętemi.

Wówczas Cyrus Smith dał ręką znak towarzyszom, aby się nie ruszali z miejsca, a sam przystąpił do szyby, oświetlonej słabo w tej chwili przez jakiś promień z wewnątrz.

Wzrok inżyniera zagłębił się w jedynym pokoju, stanowiącym parter domu.

Na stole płonęła latarnia. Obok stołu znajdowało się łóżko, na którem zwykle dawniej spoczywał Ayrton.

Na tem łóżku leżało ciało ludzkie.

Nagle Cyrus Smith cofnął się i przytłumionym głosem:

— Ayrton! — zawołał.

W mgnięniu oka przez drzwi raczej wyłamane niż otwarte osadnicy wdarli się do pokoju.

Ayrton zdawał się w śnie pogrążonym. Twarz jego świadczyła o długich i okrutnych cierpieniach. Na około rąk i nóg miał szerokie i krwawe ślady więzów.

Cyrus Smith pochylił się nad nim.

— Ayrtonie! — zawołał, chwytając za ramię w tak osobliwych okolicznościach odnalezionego towarzysza.

Na ten głos Ayrton otworzył oczy i wpatrując się w Cyrusa Smitha i w innych z kolei:

— To wy!...— zawołał — to wy!

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzież jestem?

— W domu mieszkalnym, w zagrodzie.

— Czy sam?

— Tak jest!

— A więc oni zaraz powrócą! — zawołał Ayrton — Brońcie się, brońcie!

I upadł bez sił na łóżko!

— Spilecie — ozwał się w tej chwili inżynier — możemy się spodziewać ataku lada chwila!... Wprowadźcie więc wózek w ogrodzenie. A potem zabarykadujcie bramę i powracajcie tu wszyscy.

Pencroff, Nab i korespondent rzucili się z pospiechem do wykonania rozkazu inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie, w tej minucie już może wózek dostał się w ręce korsarzy!

W mgnieniu oka korespondent i dwaj jego towarzysze przebiegli podwórze zagrody i dopadli bramy, po za którą posłyszeli głuchy wark Topa.

Inżynier opuściwszy na chwilę Ayrtona, wyszedł także z domu, gotów do strzału, Harbert stanął przy nim. Obadwaj obserwowali ścianę góry, panującą po nad zagrodą. Jeżeli korsarze stanęli zasadzką w tem miejscu, mieli wszelką łatwość sprzątnięcia osadników, jednego po drugim.

W tej chwili księżyc pojawił się na wschodzie po nad czarną firanką lasów i powódź srebrzystego światła oblała wnętrze zagrody. Wkrótce blask ogarnął i całe zabudowanie, i przylegające doń grupy drzew, i zraszający zagrodę mały potoczek i szeroki dywan otaczającej ją łąki. Od strony góry dom i część palisady odcinały się na czarnem tle biało. Z przeciwnej strony, od bramy, ogrodzenie kryło się w mroku.

Wkrótce pojawiła się jakaś masa czarna. Był to wózek wchodzący w oświetlony krąg przestrzeni, a za tem w ślad usłyszał inżynier łoskot bramy zamykanej i obwarowywanej potężnie z wnętrza przez towarzyszy.

A w tej samej chwili, Top, zerwawszy gwałtownie smycz, na której go uwiązano, jął wściekle szczekać i rzucił się jak opętany w głąb zagrody, na prawo od domu.

— Baczność! przyjaciele, i mierzyć dobrze! — zawołał Cyrus Smith.

Osadnicy przyłożyli broń do oka, czekając hasła do strzału. Top szczekał wciąż zaciekle, a Jow pobiegłszy za nim, wydawał ostre gwizdanie.

Osadnicy posunęli się za nimi i za chwilę znaleźli się nad brzegiem potoczka, ocienionego wielkiemi drzewami.

I cóż tam, w pełnem świetle ujrzeli?

Pięć ciał, rozciągniętych na wybrzeżu.

Były to trupy korsarzy, którzy przed czterema miesiącami wylądowali na wyspę Lincolna.

(C. d. n.)

MATKA.

(Podsłuchane.)

Jak tam burza szaleje,
Szybami okien dzwoni...
Noc minęła — już dnieje
A odemnie sen stroni.

Patrzę w ciemność przed siebie,
Słucham jęków zawiei,
Ach! jak szaro na niebie
Mych umarłych nadziei!

Żaden wschód tam nie płonie,
Żaden promyk nie świeci,
Wieczna pustka w mem łonie,
Dzieci moje! o dzieci!

W ciężkiej bolu niemocy
Czarne wloką się chwile...
Myślę, w mroźnej tej nocy
Jak tam zimno w mogile!

Twarde wasze trumienki
Wysłały tylko zioła —
Lekka tkanka sukienki
Ciałka ogrzać nie zdoła.

Szepcecie skargę smutną,
Usteczkami sinemi —
Na tę matkę okrutną
Co oddała was ziemi!

Ach! jam w puchy tak trwożnie
Kolebki słała wasze,
Tak tuliłam ostrożnie
Jak w gniazdku wątłe ptaszę...

I tak pospiesznie biegła
Płaczącym do snu nucić,
I tak każdy szmer strzegła
Co chciał sen wasz zakłócić!

Czuwać chciałam nad wami
Jak aniołowie stróże,
Pod waszemi stopami
Zaścielić wiosny róże!

Gwiazdy zasług i cnoty
Zapalić wam nad głową!
I z nici szczęścia złotej
Utkać szatę godową!

Lecz mych pragnień lot śmiały
Wzbił się w niebo za dumnie...
I marzenia świat cały
Bóg zamknął — w jednej trumnie.

Promień szczęści w mem oku
Rosą zgasił wilgotną,
I zostawił wśród mroku
Wiecznie, wiecznie samotną!

Gdybyż choć słońce wiosny
Uśmiechnięte świeciło,
Brzmiał śpiew ptaszął radośny
Ponad waszą mogiłą!

Trawek, miękkim kobiercem
Okryła was pieszczota —
Możeby nad mem sercem
Mniej ciężyła tęsknota!

Możebym w chmurce złotej
Dojrzała kształty wasze
Duszyczki, może w loty
Obdarzone dziś ptasze...

W każdej gwiazdce co świeci
Na wieczornym błękicie,
Myślałabym! o dzieci!
Że wy na mnie patrzycie.

I byłoby mej duszy
Spokojniej... jaśniej, ciszej...
Wicher wyje, śnieg pruszy,
Bóg skarg moich nie słyszy...

Ciemno, zimno dokoła —
Ciemno, zimno jak w grobie,
Czemuż dzisiaj nie zdoła
Mieć was matka przy sobie!

Ciepłem ogrzać objęciem
Skrzepłych w śnieżnej zamieci,
Wskrzesić jęku zaklęciem
Dzieci moje, o dzieci!

Marja B.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Miesiąc upłynął od przyjazdu Edmunda.

W tym czasie we Wolicy niby nic się nie zmieniło. Na pozór wszystko wyglądało jak dawniej, a jednak dla oka bystrzejszego inaczej jak dawniej.

Pani majorowa unikała dłuższych rozmów z mężem i Edmundem, lecz za to całemi godzinami

konferowała z panią Pędracką i co chwila pytała o córkę, której zawsze miała coś ważnego powiedzieć. Myśli zaprzątające jej głowę, musiały być w rzeczy samej nie małej doniosłości, bo od przyjazdu Edmunda rzadko zrzędziła a nawet zaniedbywała gospodarstwo. Za to gdy koniecznością znaglona musiała skarcić jaką sługę, organ jej głosu był donośniejszym jak dawniej, a słowa płynęły jak potoki lawy niszczącej pola i miasta.

Major był zamyślony.

Edmund spodziewał się usłyszeć coś z ust opiekuna o swojej przyszłości; tymczasem opiekun mówił o wszystkiem, tylko nie o przyszłości Edmunda. Widoczną przyjemność sprawiało panu Zawilskiemu, ilekroć młodych ludzi spotkał razem w ogrodzie lub na terasie. Wtedy do nich się przysiadał, słuchał ich rozmów, a gdy te były swobodne, wesołe, przyjacielskie, blada twarz starca okrywała się jakby radością wewnętrzną.

A Tonia i Edmund? I oni byli z sobą niby jak dawniej, a jednak nie tak, jak przed rokiem. Wprawdzie Edmund nie zmienił się, zawsze był wesół, swobodny, braterski, ale za to Tonia dziwnie jakoś spoważniała. Niby szukała towarzysza pierwszej swojej młodości, a bała się z nim zejść; niby pragnęła rozmawiać z nim długo, bardzo długo, a jednak gdy mówił, odpowiadała mu urywanemi słowy, mając najczęściej oczy w dół spuszczone; — gdy wreszcie prosił figlarnie by na niego popatrzyła, czyniła to przelotnie i wtedy zawsze czuła, że krew zbiega się jej do twarzy, a potem wraca do serca.

Co się stało Toni?

W pośrodku gazonu, rósł olbrzymi kasztan, pod którego rozłożystemi gałęźmi w dni pogodne pijano herbatę, a czasem jadano także objad. Młodzi nasi przyjaciele najczęściej tu się spotykali, skąd mogli widzieć dom cały, będąc nawzajem widziani. Pani majorowa rzadko im przerywała, za to co pięć minut pokazywała się w którem oknie, aby bądź coś przy kwiatach poprawić, bądź muchy wypędzić, które jak zwykle na wsi natrętnie cisnęły się do pokojów.

Tonia siedząc pod kasztanem trzymała książkę w lewej ręce. Edmund uderzał prętem po liściach, które opadały do koła z gałęzi, tworzących baldachim z zieleni. Na książce był napis *Fabiola*, a gdyby kto był zajrzał na stronicę, na której spoczywał różowy paluszek, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, byłby się przekonał, że to ta sama, którą Tonia zaczęła czytać jeszcze przed tygodniem.

— Mundziu — pierwsza przemówiła — co tobie winne te biedne liście, że je tak nielitościwie kaleczysz?

— Tobie ich żal, Toniu? Wszak to tylko liście.... bezmyślne uderzanie prętem sprawia mi pewną rozrywkę.

— A jeżeli one cierpią... jeżeli je to boli?

— O ty luba panteistko — odrzekł Edmund z uśmiechem — gdyby cię usłyszał jaki ultramontanin zagorzały, przestraszył by się twojej herezji.

— Nie wiem czy to panteizm i czy to herezja, ale ilekroć patrzę na te biedne rośliny, na te trawki i kwiatki, zawsze wyobrażam sobie, że każda z nich jest odrębną istotą, która jeśli nie ma rozumu i woli to ma przynajmniej czucie... a czy wiesz Mundziu że czucie więcej znaczy jak rozum i wola?

— O wiem Toniu! wiem... szczególnie u was — odparł Edmund wesoło. — Ale wracając do kwiatów, co cię wprowadziło na myśl, że one mogą czuć jak my?

— Alboż to trudno odgadnąć — odrzekła, robiąc minkę bardzo poważną. — Będąc na pensji nie uczyłam się wiele botaniki, lecz tu w domu, z przyjemnością badam wszystko, co mnie otacza. Źle się wysłowiła Mundziu — dodała lekko się rumieniąc — ja nie badam, bom przecie nie uczona, tylko śledzę. Otóż ilekroć urwałam gałązkę jakiemu kwiatkowi, widziałam potem, że się biedaczek żalił zwiędłemi listkami, póki się rana nie zagoiła... Gdy było zimno i pochmurno, zwieszał główkę, gdy słońce zabłysło podnosił ją wesoło.. A powój, znasz Mundziu powój? Czemu on na noc zamyka kielichy?

— Ślicznie Toniu, ślicznie, a jak tak dłużej potrwa, gotowaś odkryć całkiem coś nowego i w dodatku napisać jakie dzieło, które zaćmi Darwina.

— Nie wspominaj mi o tym bezbożniku, Mundziu! — odrzekła Tonia poważnie. — Powtarzam ci, że uczoną nie jestem, i nigdy bym nią być nie chciała, bo kobieta ma inny cel przed sobą.

— A jaki jeśli wolno wiedzieć?

Edmund przygryzł usta, gdyż w tej chwili zrozumiał, że zapytanie jego były dość niewłaściwe; słowa atoli były już rzucone.

— Jaki?... Być kobietą.

— Masz rację Toniu! — zawołał Edmund uradowany, że go ta naiwna odpowiedź z kłopotu wybawiła; — ja sam nie lubię tych kobiet, które fałszywie pojmując emancypację, chciałyby koniecznie zostać mężczyznami. Kobieta niech będzie tylko kobietą, a już tem samem spełni swoje zadanie, chociaż...

— Co chociaż?

— Chociaż nauka i kobiecie nie szkodzi... Trzeba tylko by nauka nie zawróciła jej głowy, słowem, by kobiecie była pomocą, nie celem życia.

— I ja jestem tego zdania... i przyznam ci się Mundziu, że bardzo mi przykro, iż na pensji tak mało nas uczono... Nie raz słysząc jak Hermina z panami rozmawia, wstydzę się że w dyskursie nie mogę brać udziału. Jak ci się zdaje Mundziu — zapytała po niejakiem wahaniu, — czegobym się najwięcej uczyć powinna?

— Zapytanie twoje jest zbyt szczere, moja kochana Toniu, bym ci na nie równie szczerze mógł odpowiedzieć. O ile mnie się zdaje, wykształcenie twoje nie jest zaniedbane, a jeżeli sama uważasz że potrzeba je uzupełnić, to poradź się pani Herminy... ona taka rozumna, a tobie tak życzliwa!

— Dobra rada, dziękuję ci Mundziu, przekonasz się, że cię posłucham... Szkoda tylko że tak prędko nie zobaczę się z Herminą.

— A to czemu?

— Bo wyjechała.

— Na długo?

— Na dwa tygodnie, może i na dłużej. Dziś była tu jej panna, córka pani Pędrackiej i przywiozła bilet, w którym Hermina uwiadomiła mnie o nagłym swoim wyjeździe do miasta. Ma ciągłe interesa ze swoim adwokatem, a wujaszek choćby może chciał, nie umie jej wyręczyć. Prawda Mundziu że to bardzo miła osoba?

— O, bardzo!?

— I ładna.

— Tak... przystojna...

— Przystojna? Nie mów tak Mundziu, bo mnie to martwi... Jak długo żyję nie widziałam piękniejszej osoby. Ja lubię patrzyć w nią jak w obraz.

— Który strachem przejmuje...

— Mnie nie... Jużem myślała że teraz po jej odjeździe smutniej nam będzie, i boję się byś się nie znudził we Wolicy. Tyś przyzwyczajony do życia miejskiego, do towarzystwa.

— Przecież mamy tak liczne sąsiedztwo.

— Prawda, ale nie uważałam abyś się z kim bawił tak dobrze, jak z Herminą.

— Zdawało ci się Toniu! Ja z nią lubię dysputować, a dysputa nie jest jeszcze zabawą... Teraźniejsza naprzykład nasza pogadanka stokroć mi milsza niż niejedna rozmowa bardzo uczona a sucha.

— Doprawdy?

Rzuciwszy to zapytanie, Tonia podniosła oczy na Edmunda, który wpatrywał się w nią z zadowoleniem. Młody człowiek nic nie odpowiedział. Jakiś czas siedzieli milcząco z oczyma w siebie utkwionemi. I rozmowa skończyła się na ostatniem zapytaniu Toni, bo w oknie ukazała się rumiana twarz pani majorowej, wzywającej młodych ludzi na śniadanie.

Cały ten dzień zbiegł zwyczajnie. Przy objedzie było dość cicho, bo nikt z obecnych nie miał szczególniejszego humoru, a gdy major i Edmund wyszli na terasę aby przy czarnej kawie wypalić cygara, pani majorowa wzięła córkę za rękę i zaprowadziła do swego pokoju. Co z sobą mówiły nikt nie wiedział; tylko Julcia dostrzegła po wyjściu Toni, że panienka miała oczy zapłakane. Panna Julcia nie lubiła ukrywać swych myśli i postrzeżeń, to też w pół godziny wiedziano w oficynie, że zanosi się na coś ważnego, bo we dworze „nie tak jak bywało.“ Służba zaczęła robić swoje uwagi, które nie dla wszystkich musiały być przyjemne, albowiem Grześ uznał za właściwe zawołać:

— Oho! już ja wiem, że z tego nic nie będzie!

— I mnie się tak zdaje — dodał Walenty, który mimo że starszy, był we dworze wiernym Grzesia sprzymierzeńcem.

Nad wieczorem major całą godzinę chodził po alejach ogrodu. Głowę miał zwieszoną — troski na czole. Tak zamyślonym, nawet smutnym, nie widzieliśmy go, jak jeszcze za lat młodszych a o tyle nieszczęśliwszych, gdy sam jeden mieszkał w tym domu, i gdy jedna tylko córka pani Barbary, ówczesna panna Katarzyna Krzywicka uprzyjemniała mu życia monotonność.

Od czasu do czasu mojor przystawał i wtedy z piersi wyrywał mu się kaszel suchy, jakby tłumiony. Palcem wskazującym pokilkakroć uderzył w dekę piersiową, potem ręką machnął i nawrócił ku domowi, albowiem w ogrodzie dawała się już czuć wilgoć wieczora. Na ganku zszedł się z Edmundem, który właśnie powrócił z konnej wycieczki.

— Mój synu, — przemówił starzec, kładnąc rękę na jego ramieniu — przyjdź do mnie za pół godziny... Chciałbym z tobą pomówić.

Rzekłszy to major zwrócił się na lewo i wszedł do swojej sypialni.

Był to pokój wysoki i obszerny, ale tak skromnie umeblowany, jakby tu mieszkał nie dziedzic obszernych włości, lecz człowiek niezamożny. Skórzane meble, skóry niedźwiedzie i wilcze na posadzce, a na boku łóżko pąsowym dywanikiem nakryte, oto zbytki pana Kazimierza Zawilskiego. Do sypialni, mającej wchód przez

przedpokój, przytykał mały gabinecik, przez który była komunikacja z resztą mieszkania.

Major wszedł do gabinetu, zamknął na klucz drzwi prowadzące do salonu, potem drugie od sypialni, a kazawszy służącemu przynieść lampę i odejść do oficyn, przeszedł się kilka razy krokiem wymierzonym, podumał przed oknem, które na dziedziniec wychodziło, nareszcie westchnął, usiadł w starem kreśle poręczowem i czekał z głową na ręce zwieszoną.

Wszedł Edmund. I on był w poważnym nastroju. Już oddawna spodziewał się z opiekunem rozmowy zostającej w związku z jego pełnoletnością, i chwila ta widocznie teraz nadeszła.

Starzec podał rękę młodzieńcowi, którą on ucałował.

— Jeździłeś w pole? — zapytał. — Co tam słychać z pszenicą?

— Prawdopodobnie jutro skończą, zostały tylko dwie ryzy. Ale śliczna! Dawno nie widziałem takiego ziarna.

— Nic dziwnego, w mieście gospodarstwem rolnem nikt się nie zajmuje, a ty mój synu, tyś już mieszczuch skończony. Patrząc na ciebie, niktby nie przypuścił, żeś się na wsi urodził i wychował.

— To mnie martwi mój ojcze — Edmund tak od dziecka nazywał swego opiekuna — bo mi nigdy przez myśl nie przeszło wyrzec się swobody wiejskiej dla miejskiej niewoli.

— Ja też tego nie chcę Edmundzie... uchowaj Boże! chociaż ani byś dał wiarę, ile to zgryzoty z najmniejszem nawet gospodarstwem. Gdyby nie to że znalazłem uczciwego rządcę i ekonomów pracowitych, nie dałbym sobie rady.

Major czekał chwilę, spodziewając się jakiejkolwiek odpowiedzi, gdy jednak ta nie nastąpiła, podniósł się, dwa razy przemierzył sypialnię, a potem znowu zapytał:

— Jak ci się zdaje, nie będzie jutro deszczu?

— Deszczu? Powietrze suche, barometr idzie w górę.

— To także źle... posucha, trudne będą pokłady.

Edmund wypatrzył się na opiekuna; takich pytań nigdy mu jeszcze nie zadawał. Codziennie rozmawiali po kilka godzin, najczęściej o polityce lub Napoleonie I, którego major był wielkim wielbicielem, lecz najmniej o gospodarstwie.

Major znowu chodził, znowu dumał, kilka razy potarł ręką czoło, nakoniec zebrawszy całą odwagę, stanął przed wychowankiem mówiąc:

— Usiądź Edmundzie... mamy z sobą o ważnych rzeczach do pomówienia...

Usiedli jeden naprzeciw drugiego.

— Zapewne cię to dziwiło — zaczął starzec — że już miesiąc jak jesteś, a dotąd nie porozumieliśmy się co do twojej przyszłości. Ale nie dziw się Edmundzie, temat to może wesoły dla ciebie, dla mnie jednak bardzo smutny. Tyle lat żyliśmy razem, pod jednym dachem... człowiek jak widzę przywyka... bardzo przywyka! — Tu major umilkł i głowę odwrócił a po chwili tak mówił dalej: — Wiesz że po nieszczęśliwych twoich rodzicach został piękny majątek, którego ty jedynym jesteś właścicielem. O ile to się dało przez pełnomocnika, administrowałem go sumiennie... ziemia dzięki Bogu czysta, prócz tego masz w depozycie kilkadziesiąt tysięcy. Teraz jako pełnoletni możesz swojem mieniem dowolnie rozporządzać. Powiedz mi więc Edmundzie, ale powiedz szczerze, jakbym był twoim ojcem rodzonym, nie przybranym, co myślisz z sobą uczynić?

Starzec umilkł, i badawcze spojrzenie utkwił w twarzy młodzieńca. Edmund miał łzy w oczach.

— Nie raz już o tem myślałem — odpowiedział po krótkiem wahaniu — i przyszedłem do przekonania, żem stworzony tylko do życia wiejskiego. Wprawdzie uniwersyteccy moi koledzy często mnie namawiali, bym sobie obrał jaki zawód publiczny, ale im głębiej zastanawiałem się nad sobą, tem silniej utwierdzałem się w postanowieniu porzucenia miasta na zawsze. Z łaski kochanego ojca, miałem cały rok podróżować, a tymczasem po kilku już miesiącach, nie tyle może znudziłem się co zmęczyłem bezustannemi wrażeniami, które na pozór niby to nowe, a w istocie swojej tak podobne do siebie jak dwie krople wody. Hotelowy zgiełk każdego większego miasta, jego namiętności i zawody — to nie dla mnie... nie dla mnie!

— Nie dziwota, chybabyś nie był synem szlacheckiej rodziny, żebyś myślał i czuł inaczej. To mój synu dziedziczy się już z krwią, i dlatego twój wstręt do miasta uważam za całkiem naturalny. Lecz idźmy dalej... Postanowiwszy osiąść na wsi, zamierzasz prawdopodobnie zamieszkać we własnym majątku?

— Cóż mi innego pozostaje?

— A gdybym ci naprzykład zaproponował byś nas nie porzucał?

Major wypowiedział te słowa głosem urywanym, jakby ich znaczenia sam się lękał.

— Drogi ojcze — odrzekł Edmund ze wzruszeniem — tak długo mieszkałem w waszym domu i tyle uczyniliście dla sieroty, że wstydziłbym się nadużywać dłużej waszej dobroci.

— Czyś oszalał Edmundzie! — zawołał major, a w głosie jego przed chwilą jeszcze tak łagodnym, dał się czuć nacisk energji żołnierskiej; — pleciesz mi coś o nadużywaniu, o dobroci, jak gdyby to com uczynił było czemś nadzwyczajnem, nie prostym obowiązkiem!... Jak widzę ten gwarny świat zrobił i ciebie etykietalnym... Wstydź się Edmundzie, przecie nie zasłużyłem sobie na taką odpowiedź.

Edmund powstał, a uchwyciwszy dłoń starca, gorąco do ust ją przycisnął.

— No, no, — ciągnął major — dajmy już temu pokój... Wyrwało ci się i kwita! Za dobrze się znamy, byśmy sobie nawzajem nie mieli przebaczać. Wiem ja, że pobyt we Wolicy jest ci czasem nieprzyjemnym, ale od czego rozum! Moja żona ma swoje narowy, zwyczajnie jak kobieta, lecz ktoby tam na to uważał. Zresztą w gruncie serca i ona dobrze ci życzy, tylko już taka jej natura... Co do mnie zaś, to przyznam ci się otwarcie, że nie mogę oswoić się z myślą, byśmy się kiedyś rozstali. Nie dziwota, Edmundzie, wychowałem cię, przywykłem... Serce przyzwyczai się nawet do drzewa, cóż dopiero do człowieka, zwłaszcza takiego jak ty!... Mnie tam nie wiecznie na tym świecie, stare blizny ciągle się odnawiają, nie długo trzeba was będzie pożegnać.

— Dlaczego te smutne myśli, drogi ojcze! — przerwał Edmund.

— Tobie one do głowy nie przychodzą, boś młody... ale ja myślę, myślę ciągle, bo muszę. Gdyby mnie tak brakło, coby się tu stało? Moja żona poczciwa kobieta, ale zwyczajnie kobieta... do reszty mogłoby się w jej głowie przewrócić. A Tonia, to jeszcze dziecko... Tylko was dwoje mam, to też przy was chciałbym umrzeć... Edmundzie, i cóż ty na to?

Zapytany nie dał żadnej odpowiedzi; nie mógł znaleźć stosownych słów do wypowiedzenia tego, co czuł w tej chwili. Majora kochał jak najlepszego z ojców i najlepszego przyjaciela, więc nie dziw, że melancholijny nastrój jego mowy i jemu się udzielił. Nie raz już zastanawiał się nad możnością rozstania się z rodziną, wśród której tyle lat spędził, i zawsze z największem tylko wysiłkiem ducha wmawiał w siebie że zdala od Wolicy mógłby być szczęśliwym. Że zaś z natury należał do ludzi, którzy chętnie uczucia ukrywają, więc ilekroć żądano od niego spowiedzi serca, wolał milczeć, niż najdroższe skarby swoje rzucać na marną roskosz słowa. Bezstronność nakazuje nam także wyznać, że zapytania, którem major zakończył, Edmund bądź całkiem niedosłyszał, bądź nie pojął w tem znaczeniu w jakiem je major wypowiedział.

Młody człowiek siedział ciągle z oczyma przed siebie utkwionemi, a tymczasem pan Kazimierz powstał, i z gorączkowym jakimś pospiechem zaczął przechadzać się po sypialni. Ważne, bardzo ważne myśli musiały mu głowę zaprzątać, bo znowu tarł czoło, odkrząkał i od czasu do czasu na przybranego syna badawcze rzucał spojrzenie. Wreszcie zebrał całą odwagę, a stanąwszy przed Edmundem, i ręką dotykając się jego ramiona, zapytał krótko a tonem stanowczym:

— Edmundzie, kochasz ty Tonię?

— Czy kocham Tonię? — powtórzył młodzieniec machinalnie, na starca oczy podnosząc.

— No mówże do kroćset! boś mi się tak rozmazgaił, że słowa nie można z ciebie wydobyć.

— Czy ją kocham, alboż drogi ojcze wątpisz o tem?

— Piękna odpowiedź! Ale czy ją kochasz tak jak Bóg przykazał... to jest chciałem powiedzieć czy jakiej innej nie kochasz więcej jak ją...

— Nie drogi ojcze, to ci przysięgam.

— Ha jeżeli tak, mój Edmundzie, to ci powiem, żeń się z Tonią!

Edmund szybko powstał; w jego oczach malowało się zdziwienie z radością zmięszane. Usta do pół mu się rozwarły aby coś przemówić, lecz pierwszy dźwięk na nich zamarł.

— Moja otwartość zadziwiła cię Edmundzie, lecz wiesz że nie umiem ukrywać tego co myślę... ożeniłem się po żołniersku i po żołniersku oddaję ci jedyne dziecko. Na świecie tak nie postępują, ale co mnie ten świat obchodzi!... Byle wyście byli szczęśliwi! Gdyście dziećmi byli, przyszły wasz związek był najpiękniejszem moim marzeniem, a dziś gdyście dorośli, powiedziałem sobie że czas urzeczywistnić to marzenie. Może powinnienem był czekać, póki ty sam nie zażądasz jej ręki, jednakże znałem ja młodych ludzi, którzy dlatego tylko zostali starymi kawalerami, że nie mieli nigdy odwagi oświadczyć się o rękę panny. Mogłeś mieć skrupuły, że ona bogatsza, że matka nie okazuje ci zbytniej czułości... i tego się bałem znając twoją ambicję. Teraz jednak, wszystko skończone. Mów, chcesz Tonię?

Młody człowiek powoli odzyskiwał przytomność, tak, że przynajmniej w główwych zarysach mógł zrozumieć znaczenie słów, które właśnie usłyszał.

— Czy ją chcę? Ależ jabym raczej powinien zapytać czy ona mnie chce?

— Co do tego, bądź spokojnym! Już ja wiem co mówię. Gdybym nie wiedział, że Tonia kocha ciebie, nie jak brata, ale jak mężczyznę, z którym chce całe życie dzielić, pewniebyś odemnie słowa nie usłyszał.

— O mój drogi ojcze! — zawołał Edmund schylając się do kolan starca. — Tyś tak dobry, tak szlachetny, że nie mam słów by ci podziękować. Całem życiem mojem radbym ci się wywdzięczyć.

— Tylko ją kochaj, a najpiękniej się wywdzięczysz!

— Będę, przysięgam!...

Major nie mógł dłużej mówić; wzruszenie przemogło; objąwszy Edmunda za szyję rozpłakał się jak dziecko. Chwilę stali jednym uściskiem złączeni, a gdy się uspokoił pierwszy wybuch uczucia, rzekł starzec:

— Zostaw mnie teraz samego Edmundzie.

Młody człowiek odszedł odurzony — jakby bezprzytomny.

Major czas jakiś siedział bez ruchu, aby odzyskać dawny spokój. Potem udał się do gabinetu, otworzył drzwi od salonu, i minąwszy kilka pokojów, wszedł do pracowni swojej córki. Na kozetce siedziała Tonia sama, obok lampy zieloną ombrą przysłoniętej, a tak zamyślona, że nie postrzegła ojca, ani usłyszała cichych jego kroków na dywanie.

— Toniu!

Podniosłszy się na wpół ze strachem przybiegła do ojca.

— Toniu! — powtórzył biorąc jej rękę i silnie ściskając w swojej, która drżała — Edmund... Edmund oświadczył się o ciebie.

— A ty ojcze? — szybko zapytała.

— Przyjąłem go.

Cofnęła głowę, wpatrzyła się w starca, piękna twarzyczka pobladła jej ze wzruszenia i zsunęła się mu w objęcia szepcąc:

— O mój dobry ojcze! (C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

napisał

Antoni Prochaska.

Przed dwoma laty wyszła we Lwowie powiastka historyczna, jeśli tak nazwać można monografję wydaną pod napisem: Elżbieta, trzecia żona Jagiełły. Autor jej podniósłszy hipotezę Dra. Caro co do bohaterki swej powieści Elżbiety, wystąpił przeciwko Długoszowi z całą siłą pożyczanych u Cara wywodów, i w pięknem opowiadaniu przedstawił nam Elżbietę jako nieszczęśliwą ofiarę kancelarji królewskiej. Udatny sposób opowiadania, piękna forma powieściowa — wszystko to mogło łatwo wpłynąć na każdego nieuprzedzonego, i zdawało się, że nasz historyk Długosz, jako zwolennik kancelarji królewskiej, umyślnie spaczył obraz królowej, że tendencyjnie przedstawił ją w niekorzystnem dla niej a fałszywem świetle.

Pracując nad epoką pierwszych Jagiellonów, począłem się zastanawiać, czy też sąd taki o Długoszu jest prawdziwym. Im więcej wczytywałem się w relacje Długosza, tem bardziej dopatrywałem się w nich tendencyjności. Lecz ta tendencyjność, nie zdawała mi się tak płaską i nie wystającą nad poziom, abym sądził, iż owocem tejże jest pomiędzy innemi, także spaczony u Długosza obraz królowej Elżbiety. Zacząłem tedy zastanawiać się nad tem, czy Dr. Caro i idący za nim autor przytoczonej powyżej monografji, prawdę napisali, lub czy może w błąd popadli, a miałem w pracy mojej niejakie ułatwienie. Była niem publikacja znanego w historjografji naszej Dra. Henryka Zeissberga, p. t. „Analekten zur Geschichte des XV Jahrhunderts" umieszczona w czasopiśmie: *Zeitschrift für die österreichischen Gymnasien. 1870 r.* Str. 341 — 376. Za wskazówkami Zeissberga idąc, przekonałem się, że podejrzywanie przez Dra. Cara o tendencyjność Długosza co do Elżbiety, nie ma należytej podstawy; co więcej, że nawet przedstawienie Dra Cara, jak nie mniej tych, którzy za nim poszli, jest z gruntu fałszywe. Doszedłszy do takiego wniosku napisałem recenzję o powyżej wymienionej monografji i umieściłem ją w „*Tygodniu*". Rok II Nr. 6. Przypuścić można, iż jako piszący z wręcz przeciwnego stanowiska, aniżeli to, z jakiego Caro zapatruje się na Elżbietę, nie kierowałem się w mej recenzji żadnemi względami, nie oszczędzałem tedy autora monografji, idącego ślepo za Carem, skutkiem czego sąd mój o tej pracy wypadł najniepomyślniej dla jej autora. Aby atoli szerzeniu się nieprawdy zapobiedz, umyśliłem przeciwko źródłu jej się zwrócić, a więc przeciwko przedstawieniu Dra Caro. Zapowiedziawszy tedy w mojej recenzji, że o złem i fałszywem przedstawieniu wrocławskiego profesora na innem miejscu pomówię, uiszczam się z danego słowa w niniejszej rozprawie.

Dziwny to zaiste i zupełnie niezbadany stosunek króla naszego Jagiełły do jego żon, których miał jak wiadomo cztery po kolei. Tylko o pierwszej jego żonie Jadwidze, powiedzieć możemy, że obraz jej jasno stoi nam przed oczyma, że stosunki jakie wiązały królewską parę, są nam wiadome — a zawdzięczamy to Szajnosze, który misternie i wiernie przedstawił nam dzieje tej królewskiej pary, w znakomitem swojem dziele: „Jadwiga i Jagiełło." O innych żonach Jagiełły nie możemy nawet twierdzić, byśmy znali ich dzieje. A nawet w charakterze króla, w stosunkach jego do kobiet, jakeśmy dopiero co nadmienili, jest coś zagadkowego i nie zbadanego. Długosz kreśląc w swojej „Historji" bardzo drobiazgowo życie, obyczaje i ułomności króla, powiada,[1]) że namiętny Litwin, podobnie jak Witołd „żony i niewiasty szlacheckie przychodzące z darami choćby najmniejszemi, nigdy nie odprawiał bez pociechy i szczodrych podarków w suknie i szkarłacie." Mówi on dalej, że król nasz „do miłostek nietylko dozwolonych ale i zakazanych, był bardzo pochopny." Ale po stracie żon swych okazywał podobnie jak Witołd „żal głęboki lecz krótki."[2]) gdy zaraz po śmierci jednej szukał jednocześnie w różnych stronach drugiej dla siebie małżonki. I znowu powiada Długosz, wyliczając pod 1434 r. jego cztery żony, „że z żadną jednak nie żył król w szczerej i prawdziwej miłości chrześcijańskiej" To wypowiedzenie naszego historyka, stwierdza okoliczność, że jak historja poucza, każda z żon jego już to za życia, już po śmierci, była przedmiotem oszczerstw i rozmaitych obmów ze strony chciwej plotek gawiedzi.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie znała namiętna dusza Litwina prawdziwej i statecznej miłości w pożyciu małżeńskiem, a stąd to tłumaczyć możemy ową podejrzliwość króla, owe historje o Jadwidze a Gniewoszu z Dalewic, o Annie a o Jakóbie z Kobylina i Mikołaju Chrząstowskim; o Zofji czwartej żonie króla a o Janie Straszu z Kościelnik. Wiadomo przecie, że gdy arcybiskup Gnieźnieński odwoływał uroczyście posądzenia na królowę Annę Cylejkę, tem właśnie odwołaniem, nie uchronił się sam od podobnych zarzutów. A królowa Zofia, po której pozostał wcale ciekawy list, mogący świadczyć o obyczajności ówczesnej,[1]) musiała po wydaniu na świat trzeciego syna Kazimierza, oczyścić się przysięgą. od zarzuconego jej występku cudzołóstwa.[2]) Znaną wreszcie jest rzeczą, co z powodu takich podejrzywań i zarzutów, bajała zagranica, co pisał o królowej Zofji sławny podówczas Eneasz Sylwiusz, późniejszy papież Pius II.

Naszą królowę Elżbietę, z Pileckich Granowską, nie posądzano w podobny a oszczerczy sposób. Przedstawiono ją atoli w niemniej niesympatycznem świetle jak i poprzednie królowe, nie tykając atoli jej wierności w małżeńskiem pożyciu.

Długosz, którego można uważać za współczesnego królowej, powiedział o niej, że miała zbyt awanturniczą przeszłość, w krótkim bowiem czasie trzech mężów miała, z których dwaj pierwsi z bronią w ręku nawzajem ją sobie wydzierali. Mówi on dalej, że miała wiele dzieci, skąd zarody późniejszej jej słabości i śmierci na suchoty; że wreszcie była już starą gdy król pojmował ją za małżonkę, że w końcu jej stanowisko (jako szlachcianka była poddanką króla) winno jej było zamknąć drogę do tronu, który osobą swą wcale nie zaszczyciła. Że atoli król ją powołał do tronu, a ona na to zezwoliła, gani nasz Długosz zarówno króla jak i królowę.

Skądinąd wiemy, że Elżbieta była przychylną Krzyżakom. Przeto jak wnioskuje Dr. Caro, niekoniecznie godziła się z tymi w Polsce, którzy ustawicznie nad wojną z krzyżackim zakonem pracowali. Caro przypuszcza, że to kancelarja królewska pracowała najbardziej nad wojną z Zakonem, a z tego przypuszczenia przychodzi do następującego wniosku: Kancelarja Jagiełły jest wrogą Krzyżakom, Elżbieta zaś ich przyjaciółką; ztąd Elżbieta jest nieprzyjaciółką kancelarji a kancelarja wrogiem Elżbiety. Że atoli Długosz jest zwolennikiem kancelarji, (!) przypuszcza tedy Caro, że pisał po jej niejako stronie, a zatem na niekorzyść królowej Elżbiety. Z takich wniosków przychodzi Dr. Caro do konsekwencji, że obraz Elżbiety jest u Długosza tendencyjny, fałszywy, — bo nakreślony w duchu kancelarji polskiej, która była wrogiem Elżbiety.

Nie wchodzimy na razie w to, czy przypuszczenia Dra Cara, z których dopiero do wniosków dochodzi, są prawdziwe. Na zbicie takowych nie mielibyśmy nawet tu miejsca; droga zresztą taka, celem udowodnienia że one są fałszywe, a zatem że i wnioski z nich pochodzące, nie mają należytej podstawy, byłaby za długą. Ograniczamy się tylko do wniosków profesora Cara i zastanawiamy się, czy są one uzasadnione i trafne, czy też przeciwnie.

Dr. Caro wywnioskowawszy na drodze, którąśmy ogólnikowo określić się starali, że obraz

---

[1]) XI. 656.

[2]) Szajnocha. Jadwiga i Jagiełło; charakterystyka Witołda w tomie IV. str. 6.

[1]) Porównaj Liber Cancellariae. T. I. N. XXXIII.

[2]) Dł. XI. 499.

*

Elżbiety jest u Długosza tendencyjny i fałszywy, nakreśla inny i znajduje do tego dość rysów, we współczesnych źródłach. Opis Elżbiety u Cara stoi w zupełnej sprzeczności do opisu Długoszowego. A zatem według Cara Elżbieta nie miała trzech mężów przed Jagiełłą, nie dzieliła przeto wraz z nimi awanturniczych losów; Elżbieta według wrocławskiego profesora, była w dalszej konsekwencji młodą i ładną, gdy wpłynęła na miłość króla; dbała o oświatę — a bardziej o Niemców, o Krzyżaków, a z tej przyczyny znalazła wrogów którzy jej życie zatruwali. Nieszczęśliwa królowa, niezasłużenie cierpiała przez całe życie!

Takie jest zdanie profesora Cara. Chodzi więc nam głównie o to, czy wrocławski profesor czy współczesny prawie historyk Długosz mają słuszność, a w ciągu dalszym, jak powinien wyglądać obraz królowej Elżbiety w dziejach naszych, i jak tłumaczyć mamy stanowisko Długosza gdy kreślił obraz Elżbiety.

Zapytajmy nasamprzód, co spowodowało króla Jagiełłę do ożenienia się z Elżbietą Granowską i czy domyślanie się Cara i idących za nim, iż oczarowała króla swą miłością, ma słuszną podstawę.

Jak wiemy 1416 roku, 21 marca, umiera Anna Cylejka, druga żona Jagiełły, wnuczka Kazimierza Wielkiego. Król opłakał jej zgon, kazał odprawiać nabożeństwa żałobne po całem królestwie, przywdział żałobę i kazał ją również nosić wszystkim dworzanom.[1]) Krótko atoli bolał król po stracie swej małżonki a przebywając jak zwykle zimę na Litwie, począł się starać o rękę córki Wasyla, księcia Moskwy. Mistrz Inflancki doniósł tę ważną dla Krzyżaków wieść Wielkiemu mistrzowi, a współczesny kronikarz krzyżacki Jan z Posilge,[2]) posądza nawet z tego powodu króla, o łączenie się z Rusią i z Tatarami dla wzmocnienia swojej potęgi.[3]) Plan ten Jagiełły nie przyszedł atoli do skutku i kto wie czy nie jest trafny domysł Cara, iż powody religijne były przyczyną, że starania się króla o rękę córki Wasyla Dmytrowicza spełzły na niczem. Nie zraził się tem Jagiełło, i owszem domyślać się godzi, że postanowił koniecznie ożenić się gdyż wkrótce już wysłał Piotra Miedzwieckiego w swaty do wdowy po księciu Brabanckim Antonim. Była to wnuczka Karola IV, a córka Jana, księcia Gorlickiego. Ta odpowiedziała, „że nie chce iść za mąż a ma wstręt do powtórnych ślubów.“[4]) Snać chowała Elżbieta serce swe dla kogo innego, gdyż już 1417 r, widzimy ją małżonką Jana Bawarskiego[5]). Tak więc i drugi plan Jagiełły spełzł na niczem. Z tych atoli danych, wnosić możemy, że sześćdziesięcioletni Litwin pałał gorącą chęcią ożenienia się, skoro dowiadywał się po wszystkich stronach o możliwych partjach, a nawet czynił ku temu stosowne kroki. Odmowy lub spełznięcie zamiarów mogły tylko utrwalić króla w przedsięwzięciu. Długosz odkrywa nam przyczynę tych przedsięwzięć Jagiełły, gdy mówi o nim:[6]) „gestiebat enim ipse, magnopere flagrabat, neque tacitus rem ipsam contegebat..... providere et efficere quoquomodo satagens, ut successio Regni Poloniae, in natione Lithuanica, et in familia et in domo sua Gediminia continuaretur.“

[1]) Dł. XI. 371.
[2]) Wydanie Voigta 323. Uwaga 1.
[3]) Voigt. Gesch. Preuss. VII. 303.
[4]) Dł. XI. 374.
[5]) Caro. Gesch. Polens. III. 476. Uw. 1.
[6]) Dł. XI. 602.

Dotychczas nie miał Jagiełło syna, a chciał dom swój „Gedymina“ na tronie Polski ustalić. Tak tłumaczy nam Długosz ową zapobiegliwość i skrzętność króla w szukaniu małżonki. Teraz spieszyło mu się bardziej, bo był już sześćdziesięcioletnim mężem.

Łatwo nam osądzić, że król w trzech ostatnich miesiącach roku 1416 szukając w dwóch stronach małżonki, nie mógł przybywszy na dniu 13 stycznia 1417 r. do Lubomli, zakochać się naraz w Elżbiecie Granowskiej. Pominąwszy wiek króla i Elżbiety i inne niekoniecznie obudzające miłość okoliczności, już sama psychologiczna niemożebność tak nagłego zwrotu u króla, kazałaby nam w postanowieniu Jagiełły ożenienia się z Granowską, wszystkiego innego się domyślać, tylko nie młodzieńczych uniesień, nie ckliwej miłości.

Nim się zastanowimy nad przyczynami, które mogły skłonić króla do uczynienia tego kroku, rzucimy wpierw okiem na dawniejsze losy Elżbiety. I tu spotkamy się z silnem wystąpieniem Cara przeciwko opisowi Długoszowemu co do awanturniczych losów królowej, itd. będziemy więc badać czy nie znajdziemy potwierdzenia opisu Długoszowego we współczesnych źródłach.

Elżbieta jest jedyną córką Ottona z Pilczy, wojewody Sandomierskiego. Ponieważ Otto nie miał męskich potomków, była więc jedyną spadkobierczynią majątku wojewody, skąd słuszna u Szajnochy nazwa „bogata Toporczanka.“ Jakoś w pierwszej połowie roku 1382 umarł jej ojciec, stary wojewoda[1]), a jej matkę Jadwigę, która była chrzestną Jagiełły, widzimy bardzo często występującą w procesach w grodzie krakowskim.[2])

O losach naszej więc Elżbiety Pileckiej powiada Długosz, że przed swem zamążpójściem za króla, była już żoną trzech mężów. Pierwszego zwie on: Joannes Moravus de Myedzwyedz, drugiego: Viszlo Czambor Slesita — a trzeci był jak wiadomo Wincenty Granowski kasztelan Nakielski[3]). Na innem miejscu znowu[4]), opowiada Długosz historję o dwu pierwszych jej mężach. Mówi zatem, że Elżbieta po śmierci Ottona, wojewody sandomierskiego, jedyna dziedziczka wielkiego majątku, została z powodu ogromnego jej posagu wykradzioną przez Wisłę Morawczyka.[5]) Gdy o tym czynie dowiedział się Janczik de Hiczni, Baro Moravus de domo „Odrowąż,“ zapragnął bogatego jej posagu i jako mocniejszy odebrał ją Wisłowi, pojąwszy ją za żonę. Lecz Wisło bawiący w Krakowie nie mogąc siłą nic uczynić, niepokoił Jenczyka Hiczyńskiego listami, za gwałtowne wydarcie sobie Elżbiety Pileckiej. Nazywał on też Elżbietę prawą swą małżonką, Jenczyka zaś cudzołożcą. Mimo napomnień, nie przestaje Wisło znieważać Jenczyka. Przybył tedy pierwszy do Krakowa, a to tajnie — i gdy Wisło wychodził z łaźni z domu tak zwanego Szpotona, (Schpotonis) napadł go Jenczyk i zabił.

Gdy i Jenczyk niezadługo umarł, wziął Elżbietę Spytek z Melsztyna, wojewoda krakowski i wydał za Wincentego Granowskiego dla jakiegoś powinowactwa herbu. Gniewali się o to mocno Toporczykowie jak mówi Długosz, „quod homo paucarum opum erat.“ Odtąd, ożeniony tak bogato Granowski, począł się pisać Leliwczykiem.[1])

[1]) Szajnocha. II. 374 w przypisku do 143 str.
[2]) Widzimy ją już 1389 in crastino sti Stanislai w procesie z Tomaszem de Werzingi. Obacz Helcel. Starodawne prawa polsk. pomniki. I. zapiska 271.
[3]) Dł. XI. 378.
[4]) Dł. XI. 380.
[5]) Wpierw nazwał go Dł. Slesita.

Awanturnicza zwłaszcza pierwsza część tej historji o Elżbiecie nie podoba się Carze.[2]) Nie dziwi go tyle to, że Długosz pierwszego: Joannes Moravus de Myedzwyedz, to znowu Jenczik de Hiczni baro Moravus de domo Odrowąż zowie; że drugiego nazywa „Wiszlo Czambon Slesita“ (de Wissemborg) i znowu „Viszlo Moravus parum notae sortis homo,“ ile to, że historyk nasz Wisłowi nadał przydomek de Wissemborg!

Lepiej, powiada Caro, żeby Wisło był Szlązakiem aniżeli Morawczykiem, ale by był z Wissemburga, a zatem spokrewniony ze znanym Bartoszem z Wissemburga, tego przypuścić nie można. Słusznie uzasadnia swoje zdanie Caro konstatując z dokumentów, że Wisło miał stosunki z Bartoszem z Wissemburga, lecz że nie był Wissemburczykiem, ale owszem wrogiem jego. A więc, konkluduje dr. Caro, ci dwaj (Wisło i Jenczyk), zda się, egzystowali jako małżonkowie Elżbiety tylko w kłamliwym duchu Oleśnickiego. „Allein diese beiden scheinen als Ehegatten Elisabeths nur im Lügengeiste Zbygniew Oleśnicki's existirt zu haben.“ Czyli króciej, że Długosz skłamał tu za Oleśnickim.

(C. d. n.)

Kartki z obczyzny.

(Dokończenie)

Nie weźmiecie mi zapewne za złe szanowni czytelniczy, że jako ilustrację do moich uwag o stanie ekonomicznym Niemiec i Francji, podam wam kilka ciekawych szczegółów statystycznych, z których z łatwością ocenicie stan ekonomiczny obu tych krajów.

Cyfry te, aby uniknąć zarzutu tendencyjności, wziąłem wyłącznie z roczników i tabel statystycznych, wydawanych przez statystyków niemieckich, jakoto: Kalba, Engla, Dammera, Haushofera itd. i opartych na źródłach urzędowych.

Powszechne panuje przekonanie, że naród niemiecki jest pracowitszym od francuskiego i więcej od niego produkuje. Wymowną na to odpowiedzią są następujące cyfry: Ludność oddająca się rolnictwu, stanowi następujący procent ogólnej masy ludności: we Francji 52% — w Austrji 70·8% — we Włoszech 66·1% — w Anglji 33% — w Prusach 45%[3]).

Cyfry te ale nabierają dopiero znaczenia, jeżeli je porównamy z następującemi cyframi. Ludność przemysłowo-handlowa stanowi następujący procent ogólnej ludności: w Anglji 48·8% — w Szwajcarji 31% — we Francji 30% — w Prusach 29·2% — w Wirtembergu 26·5% — w Bawarji 21·5% — w Austrji 12·9% — w Polsce (Kongr.) 11·9% — w Rossji 6·3%.

W braku dostatecznych danych statystycznych niepodobna nam z całą dokładnością wykazać, jak się przedstawia stosunek cyfrowy ludności pracującej w Niemczech i Francji. Możemy jednak z powyższych cyfr wyprowadzić wniosek, że np. w Prusach, które stanowią dziś $\frac{5}{8}$ całych Niemiec pod względem zaludnienia, ludność oddająca się pracy produkcyjnej (rolnictwo, przemysł, handel itd.) wynosi 74·3%, kiedy we Francji 82% !... Jeżeli jednak powyższe cyfry nie dają nam dostatecznych wskazó-

[1]) Dł. XI. 381.
[2]) Caro. G. P. III. 471, Uwaga 1; 479. Uwaga 1.
[3]) W tabeli statystycznej Kalba, z której te cyfry czerpiemy, nie ma podanej cyfry procentowej w całych Niemczech.

wek, co sądzić w ogóle o stanie ekonomicznym Niemiec, to zdaje się, że następujące dane statystyczne w zupełności potrzebie tej uczynią zadość.

Liczba mieszkańców, na którą przypada jeden oddający się drobnemu przemysłowi wynosi: w Rossji 63 — Polsce 34·3 — Austrji 31 — Saksonji 17 — Prusach 16·1 — Anglji 16 — Francji 14·7 — Bawarji 13 itd.

Liczba zaś mieszkańców, na którą przypada 1 robotnik fabryczny wynosi: w Rossji 120 — Polsce 67 — Austrji 53·5 — Bawarji 39·4 — Prusach 26·1 — Francji 25·1 — Wirtembergu 23·9 — Saksonji 14·4 — Anglji 8·3.

Wartość ogólna produkcji wynosi: w Anglji 15,500 mil. franków — Francji 8.100 mil. frank. — Austrji 3.000 mil. fr. — Prusach 3.000 mil. fr. — Saksonji 600 mil. fr. — Bawarji 550 mil. fr. — Wirtemb 250 milj. franków.

Daleko wymowniejszą jeszcze jest cyfra wartości produkcji fabrycznej obliczona z przecięcia na każdą jednostkę ludności: we Francji 217 franków — w Anglji 630 — Prusach 166 — Rossji 38.

Rozmaite są sposoby ocenienia stopnia rozwoju ekonomicznego w danym kraju. Niektórzy statystycy mierzą rozwój ten skalą zużytego żelaza lub węgla, inni kwasu siarczanego itd. Jednym z najracjonalniejszych systematów jest przyjęcie za jednostkę obliczenia konia parowego. W tym wypadku porównanie tak się przedstawia: Liczba mieszkańców, na którą przypada 1 koń parowy wynosi: w Anglji 11 — Belgji 48 — Francji 95 — Saksonji 129 — Prusach 131 — Niemczech 300 do 500 — Austrji 618 itd.

Jeżeli porównamy teraz wszystkie zestawione powyżej dane statystyczne, przyjdziemy do przekonania, że Francja pod względem rozwoju ekonomicznego stoi o wiele wyżej niż Niemcy, a bezporównania wyżej, aniżeli Prusy oddzielnie porównywane. Tę ogromną siłę produkcyjną, której Francja dała najwymowniejszy dowód w szybkiem odrodzeniu się po wypadkach ostatniej wojny, usprawiedliwiają w zupełności powyższe cyfry.

Charakterystycznym probierzem bogactwa narodowego i siły wytwórczej jest stosunek podatkowy. Podług niedawno dokonanych urzędowych obliczeń statystycznych, przypada na każdego z mieszkańców podatku: W Anglji 21·6 pol. niem. guld. — Francji 11·9 — Austrji 9·4 — Rosji 6·7 — Prusach 5·9 pol. niem. guld.

Z tego ostatniego porównania widzimy, że Prusak płaci prawie dwa razy mniej podatku niż Francuz, a pomimo to utyskiwania na wysokość podatków nigdzie nie są tak wielkie, jak w Prusach. Każdy projekt podwyższenia podatków ze strony ministra finansów natrafia na jednomyślny opór izby i kraju. Dość przypomnieć sobie, jaką wrzawę narobiło w całych Niemczech projektowane podwyższenie podatku od piwa, tak si nie popierane przez księcia Bismarka z trybuny parlamentarnej. Widocznie patrjotyzm prusko-niemiecki ma swoje granice. W każdym razie powyższy stosunek podatkowy przekonywa nietylko o uczuciach miłości dla ojczyzny silnie zakorzenionej we Francji i zdolnej do wszelkich poświęceń, ale także i o jej wielkiej żywotności ekonomicznej. Sprawozdanie ministerstwa finansów świeżo ogłoszone wykazuje, że w roku 1875 obrót handlowy Francji wynosił:

w przywozie . . .	3,236,409.000 fr.
w wywozie . . .	4,022,162.000 „
czyli razem . .	7,258,571.000 fr.

Przewyżka zaś wartości eksportu nad importem przedstawia pokaźną cyfrę 785,753.000 franków, cyfrę, którą żaden kraj poszczycić się nie może. Dochód z podatków wynosił we Francji za rok ubiegły (1875):

stałych . . .	682,814.900 fr.
niestałych . .	2,050,990.000 „
razem . .	2,733,804.900 fr.

Żeby mieć pojęcie, jak szybko Francja odrodziła się z upadku, w który pogrążyła ją szowinistowska polityka drugiego cesarstwa, porównajmy niektóre cyfry z roku 1869, 1874 i 1875.

Obrót dyskonta banku francuskiego (*effets de commerce*) wynosił w roku 1867 — 6.675 mil. fr. W roku 1874 wzrósł do 8·153 mil. fr.

Obrót handlowy z zagranicą przedstawiał w r. 1869 wartość ogólną 6.228 mil. fr. W roku 1874 dosięgnął cyfry 7.694 mil. fr.

W roku 1869 linja dróg żelaznych wynosiła 16.973 kilometrów, obecnie zaś około 22.000!

Dochód z tych dróg wzrósł z 696 do 850 miljonów franków.

* * *

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Francja w czasie tym straciła $1^1/_2$ miljona najpracowitszej i najprodukcyjniejszej ludności, że obszar jej zmniejszony został o 1.280 kilometrów, że dalej w ciągu 3 lat zmuszoną była przeprowadzić kolosalną operację finansową, jeżeli to wszystko weźmiemy pod uwagę, stworzymy sobie dopiero prawdziwe pojęcie o żywotności Francji, przedstawicielki tej rasy romańskiej, którą Niemcy za zgniłą i przeżytą okrzyknęli.

Odpowiedź na to udzieliła Europa, pokrywając czterdzieści razy subskrypcję na pożyczkę francuską, i jak się można przekonać z zupełną świadomością położenia ekonomicznego Francji, skoro dziś bilety tej pożyczki podniosły się z 82 do 104 franków 60 centymów!... Słuszność nakazuje wyznać, że znaczna część zasługi w tym razie spada na oszczędną*) i racjonalną administrację polityczną kraju.

Francja przekonała Europę, iż Rzeczpospolita francuska przestała być tem widmem czerwonem, którem straszono ludy, jak owe dzieci w bajce, że pod republikańską egidą, Francja szybko odbudowała swoją pomyślność, ponaprawiała zrządzone szkody i zajęła znowu przynależne jej miejsce w wielkiej rodzinie ludów europejskich.

* * *

W dalszych listach powrócimy raz jeszcze do tego przedmiotu, a teraz na zakończenie wspomnę o wydanej niedawno książce pod tyt. „*La France et les Polonais. Apercu historique depuis le dixième siècle jusqu'à nos jours par un ami de deux nations*“ 1875.

Zamiast oceny tej książki podaję Wam dosłownie list, jaki autor jej p. Andrzej Garbiński otrzymał od W. Hugo, i który mi łaskawie przez szanownego autora został udzielony. List ten brzmi:

Paris, le.....

J'ai lu. Monsieur, vôtre excellent travail et je vous félicite.

Dans mon livre „Avant l' Exil,“ vous pouvez voir à quel point nous sommes d'accord. Courage! L'avenir est à la justice, c'est à dire à la Pologne, et à la lumière — c'est à dire à la France.

Vous serre la main

Victor Hugo.

Dzieło na które się W. Hugo powołuje: „Avant l'Exil,“ zawiera w sobie mowę jego mianą w Izbie parów w roku 1846, w której żądał interwencji dyplomatycznej z powodu ówczesnych wypadków w Galicji.

Sokół.

---

*) Że oszczędność stanowi ważną różnicę pomiędzy monarchiczną a republikańską administracją, dość przytoczyć np. fakt, że kiedy lista cywilna Napoleona III wynosiła 25 mil. franków, dzisiejszy prezydent Rzeczypospolitej pobiera pensji tylko 600.000 fr.

POGADANKI.

XVIII.

Przedwczesna kanikuła tegoroczna nie okazała się zbyt przyjazną muzom — ze wszystkich sztuk wyzwolonych kwitło tylko krasomowstwo. Ale też co kwitło, to kwitło — prawie tak pięknie, jak pszenica na dobrze uprawnych łanach bołszowieckich; szkoda tylko, że wydało same puste kłosy. I w tem leży właśnie różnica, fatalna dla kraju, iż taki krasomówca tabularny, jeżeli mu się nie urodzi ziarno, ma jeszcze zawsze nożyczki i szafkę z listami zastawnemi, regularnie dwa razy do roku rodzącemi obfite kupony. Naród tymczasem, zebrawszy samą słomę z sesji parlamentarnej, nie może rewanżować się w ten sposób, bo niezałatwione wnioski i niedoczynione poprawki nie niosą procentów. Rezultat jest ten, że naród karmić się musi oratorską sieczką i chudnie coraz bardziej.

Najgorzej obeszli się ojcowie narodu tym razem z narodem profesorskim. Była to chwila tragikomiczna, która zasługuje na to, ażeby ją osobno zapisano w rocznikach galicyjskiego żywota parlamentarnego. O 12ej godzinie w nocy z dnia 26. na 27. bm. według wyroków nieubłaganego fatum, kończyć się miało nie tylko posiedzenie, ale i cała sesja, a wraz z nią, o tejże godzinie 12ej gasły mandaty poselskie. Trzy godziny przed tym terminem, rektor Uniwersytetu jagiellońskiego dr. Zoll upraszał, ażeby wnioskom komisji edukacyjnej dano pierwszeństwo przed innemi zalegającemi jeszcze sprawami. Prośby tej nie wysłuchano, i baraszkowano jeszcze czas jakiś o tem, że choć potrzeba krajowi parę kolei żelaznych, to ponoś żadna z nich nie będzie wybudowaną. Nakoniec dr. Zoll wstaje i wśród gwaru znowu przypomina sprawy wychowania publicznego. Na to podnosi się wielmożny Kazimierz Grocholski, i — wnosi zamknięcie posiedzenia. Posiedzenie, sesja, mandaty, i wnioski komisji edukacyjnej, wszystko to razem pochłania wieczność, i w sali sejmowej wkrótce nie zostaje nikt, oprócz pewnego posła, który zawzięcie szuka swojej czapki, zapomniawszy o tem, że zjadł ją przez dystrakcję. Zamiast czapki, znajduje laskę marszałkowską, i w mniemaniu, że to jego parasol, wraca do domu trzymając nad nienakrytą swoją głową owe godło porządku parlamentarnego, ku wielkiemu zdumieniu. Tak giną czapki, wnioski, parasole i — narody.

Do zakresu *Tygodnia* należy jeszcze druga krzywda, wyrządzona nam przez naszych, Bogu dzięki, dzisiaj już ex-ojców. Jednogłośne wołanie wszystkich nieurzędowych dzienników o powiększenie subwencji dla przedsiębiorców teatru lwowskiego nie zostało uwzględnione. Wskutek tego, przedsiębiorcy udali się do Zarządu fundacji skarbkowskiej z prośbą, by ich zwolniono z kontraktu. Nie wiem, czy mam z natury tak silne nerwy, lub też czyli długoletnia praca w zawodzie kronikarskim tak mię zahartowała, ale to wiem, że ten *strike* ze strony pp. przedsiębiorców nie przeraził mnie nad miarę. Nie mówię tego bynajmniej z powodu, jakobym sobie życzył zmiany dyrekcji teatru — owszem, przyznaję wraz z „całem miastem,“ że teatr prowadzony jest tak dobrze, jak to tylko być może w danych warunkach, i że nie łatwo byłoby oddać go w odpowiedniejsze ręce. Natomiast sądzę, że pp. przedsiębiorcy namyślą się jeszcze i postanowią przecierpieć biedę, w nadziei, iż przyszły Sejm złożony będzie z żywiołów mniej azjat... chciałem powiedzieć, więcej europejskich, i więcej uzdolnionych do sądu, gdzie oszczędność jest na swojem miejscu, a gdzie nie jest. Proponuję kompromis między wszystkiemi stronnictwami, którego pierwszy punkt ma opiewać, że każdemu kandydatowi przy przyszłych pytaniach postawione będzie następujące pytanie:

„Jest mały Maciek, który chodzi do szkół i umie już czytać i pisać, ale dla braku funduszów nie może kontynuować nauk. I jest wielki drągal Hawryło, niezmiernie leniwy i z natury gamoń okropny. Ma już lat trzydzieści sześć i chociaż dotychczas nie przyszło mu nigdy na myśl uczyć się, teraz nagle ubrdał sobie, że potrzeba zwołać uczonych, którzyby wynaleźli nowy język

i ułożyli nowy słownik i nową gramatykę, jakoteż nowy alfabet, a gdy to wszystko wynajdą i ułożą, Hawryło będzie się tego uczył. Jeżeli szanowny kandydat będzie miał jaki fundusz do rozdania, komu z tych dwóch przyjdzie w pomoc, Maćkowi czy Hawryle?“

Kandydat głosujący za wynalezieniem alfabetu i języka dla Hawryły nie powinien dostać ani jednego głosu, a Sejm wybrany na tej zasadzie pielęgnować będzie to, co już jest i żyje, zamiast siać to, czego nie ma i być nie może. Wówczas, znajdą się i fundusze na teatr, i Hawryło przestanie być butnym i napierać się szybki z okna, skoro ujrzy, że to nie z sentymentalnemi matronami sprawa.

Co się tyczy pp. przedsiębiorców teatru, mniemam i powtarzam raz jeszcze, że się namyślą. Gdyby ustąpili, zostałyby do dyspozycji Wydziału Krajowego dwie kwoty, jedna wynosząca 4.500 zlr. i bezwarunkowo należąca się teatrowi polskiemu we Lwowie, a druga wynosząca 12.000 zlr. i przywiązana do warunku utrzymania opery polskiej najmniej przez cztery miesiące w roku. Otóż rozpisanoby konkurs pod warunkami dotychczasowemi, a w takim razie znaleźliby się inni przedsiębiorcy, a znaleźliby się z tego powodu, że nie potrzebowaliby tak jak dzisiejsi obejmować znacznych ciężarów po poprzednikach swoich, a tylko naraziliby się na jednorazowy niedobór z nadzieją uzyskania większej subwencji od przyszłego Sejmu. Ze względu na tę nadzieję, oto co radzę dzisiejszym pp. przedsiębiorcom: „Czekajmy, biedujmy, i orjentujmy się — mianowicie zaś orjentujmy się co do pytania, komu mamy powierzyć ster spraw publicznych!“

Nie godzi się nie wspomnieć, gdy jest już mowa o teatrze, że dzięki zabiegom dyrekcji miewamy teraz opery przedstawiane tak, jak sobie tego życzyć można nietylko we Lwowie, ale i w znacznie większem mieście. Gościnne występy przybyłej z Warszawy pani Paschalis i p. Souvestre przyczyniają się do tego niemało, a i miejscowe siły nie tak znowu bardzo bledną przy tych znakomitościach! Srokacizna językowa razi wprawdzie trochę: przedmiot niemiecki, opracowany przez Francuza, a śpiewany przez Polkę po włosku, jak n. p. Faust, może się nie jednemu wydać prawdziwym dziwotworem międzynarodowym. Z drugiej strony wszakże wolimy słyszeć parę partyj śpiewanych po włosku, niż nie słyszeć nic, albo co gorsza, narazić teatr na inwazję niemiecką, a znawcy zapewniają, że n. p. takie przedstawienie Afrykanki, jakie mieliśmy temi dniami, i co do całości i co do szczegółów odpowiada bardzo nawet wybrednym wymaganiom. Jeszcze raz tedy: *„Czekajmy*, biedujmy, i *orjentujmy się!*

Jan Lam.

Kronika naukowa.

Przed niedawnym czasem umieściła kronika naukowa *Tygodnia* sprawozdanie o ważnem odkryciu Crookes'a, dotyczącem działania mechanicznego promieni świetlnych. Za prace nad tym przedmiotem, i za odkrycie talu, pierwiastku chemicznego, oraz zbadanie jego połączeń, na tegorocznem swem posiedzeniu towarzystwo królewskie londyńskie (Royal Society) nagrodziło tego uczonego złotym medalem. Prace nad działaniem mechanicznem światła prowadzi Crookes dalej i niedawno ogłosił sposób mierzenia siły promieni świetlnych, czyli mówiąc słowami życia codziennego, sposób znalezienia wagi tych promieni. Przed pół rokiem nie wierzylibyśmy temu, dzisiaj fakta zmuszają przyjąć tę nową prawdę. Postaramy się oznajomić czytelników z tą nowiną robiącą tyle hałasu w świecie naukowym. Zacznijmy od przyrządu służącego do ważenia światła. Jestto rurka szklana, z której wyciągnięto, o ile można najdokładniej powietrze. Wewnątrz tej rurki jest umocowana nitka szklana (szkło bardzo łatwo daje się wyciągać na elastyczne nitki) przyczepiona obu swemi końcami do zalutowanych końców rurki. Nitka ta tworzy rodzaj osi wypróżnionej rurki. W jednym z punktów tej nitki jest przymocowana krótka nitka poprzeczna, mająca na końcu małą tarczę z rdzenia bzowego, po jednej stronie poczernioną. Najmniejsza, niedająca się przez dotykanie uczuć siła, działająca na tarczkę sprowadza skręcanie się nitki. Im siła jest większa tem naturalnie i skręcanie się jest większe. Na połączeniu nitki poprzecznej z podłużną przymocowane jest małe zwierciadełko, które okręca się razem z nią i służy do mierzenia stopnia skręcania się nitki. Promień mianowicie światła, odbity od zwierciadła i rzucony na podziałkę, porusza się po niej razem z poruszaniem się zwierciadła, a podziałkę można tak urządzić, że cyfry na niej wskażą o wiele stopni obróciło się zwierciadło. Jeżeli cały przyrząd tak ustawimy, że promień odbity pokazuje zero na podziałce, i następnie puścimy promień światła na tarczę ze rdzenia bzowego, zauważymy, że plamka jasna pochodząca od światła odbitego posuwa się po podziałce i pokazuje stopień skręcenia się nitki. Do rurki przed zalutowaniem włożony został mały kawałek żelaza ważący zaledwie kilka setnych grana. Za pomocą magnesu wkłada się ten kawałek żelaza na tarczkę bzową, albo na inną poprzeczkę, i mierzy się znowu skręcenie nitki. Porównywując oba skręcenia otrzymać łatwo siłę działająca na tarczę. Świeca zwykła wysyła promienie, których siła wynosi 0·00172 granów. Badania Crookes'a nad promieniami słonecznemi doprowadziły do następujących rezultatów. Na każdą stopę kwadratową powierzchni ziemi wywierają promienie słońca ciśnienie 32 granów — na milę kwadratową ang. 57 tonn (tonna=1000 kg.) a 3000000000 tonn na całą ziemię. Wnet zastosowano to odkrycie siły mechanicznej światła do fotometrów, czyli przyrządów służących do mierzenia światła. Jeżeli, jak już o tem wspomnieliśmy, zwykła świeca ciśnie z siłą 0·00172 granów, to inne światło, pochodzące z inego źródła, wywiera inne ciśnienie, i przyjąwszy pewne światło za normę, można w ten sposób, mierząc ciśnienie promieni mierzyć i siłę światła. Według doświadczeń Crookes'a np. płomień zwykłej świecy i płomień gazowy dawały jedno i toż samo skręcenie nitki kiedy świeca była oddalona o 48 cali ang. a płomień gazowy o 113; więc światło gazowe równe było co do natężenia światłu $5^1/_2$ świec zwyczajnych, co bardzo prosty rachunek wykazuje. Przyrząd Crookes'a można także używać do mierzenia zmian w natężeniu światła słonecznego, co jest ważnym nabytkiem dla obserwacji meteorologicznych. — Przy tej sposobności, gdy mówimy o świetle, nasuwa się nam na myśl oświetlanie jednej z ulic Jersey-City w Stanach Zjednoczonych. Olej skalny, nafta którą do lamp używamy, i na którą z takiem oburzeniem patrzymy kiedy służy do oświetlania ulic naszych, w Ameryce zyskuje sobie na nowo prawo obywatelstwa dla tych celów. Nafta jest umieszczona w wielkich zbiornikach pod ziemią i stąd powietrze ściśnione wypycha ją do dzióbków, które są tak urządzone, że część nafty, paląc się u dołu dzióbka ulatnia naftę, która wychodzi z rurki w stanie pary i daje światło podobne do światła gazowego. Dostęp pary nafty jest uregulowany specjalnym mechanizmem. Zbiornik umieszczony pod ziemią, zrobiony jest z blachy żelaznej galwanizowanej i zawiera około 2000 litrów nafty. Ta ilość wystarcza na zaopatrzenie jednej lampy na przeciąg sześciu miesięcy. Na pokrywie zbiornika znajduje się otwór, przez który się naftę dolewa i dwie rurki z których jedna jest połączona z całą siatką rur idących do głównej stacji i służy do wciskania powietrza a tem samem do wypychania nafty na wierzch do dzióbków przez drugą rurkę idącą prawie do spodu rezerwoaru. Półcalowe rurki wystarczą na 2000 płomieni. Główną zaletą tego systemu oświetlania jest uniknięcie zwykłych kosztownych połączeń gazowych rurami, uniknięcie nadzwyczaj kosztownych fabryk gazu i usunięcie przyrządów kontrolujących. (Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Marie Stuart, son procès et son exécution par M. Chantelauze — 1. vol. wielki w 8ce; Plon. — 1876.

Mało jest osobistości historycznych, których życie mogłoby być przedmiotem tak licznych i spornych zapatrywań, jak życie Marji Stuart. P. Chatelauze, dzięki prawdziwym odkryciom, kreśli nam proces i śmierć tej nieszczęsnej królowej Szkocji w obszernym tomie, napełnionym nowemi dokumetami, które nam wykazują, jak wielka była niegodziwość i wiarołomstwo Elżbiety. Wielu historyków przestawiało to życie jako pociągające nas powabem i wdziękami w swym początku, odrażające zaś w swym końcu występkami i nieszczęściami; jednak — mimo swego talentu i wiedzy, nie posiadając dziennika lekarza Marji Stuart, nie mogli nam przedstawić wszystkich odmian tego wielkiego dramatu, tego długiego procesu, który miał się zakończyć pod toporem kata. P. Chantelauze jest gorliwym stronnikiem Marji Stuart, dał się oczarować wdziękami tej powabnej kobiety i broni jej sprawy z zapałem obrońcy, pewnego wygranej. Dzieło to jest bardzo zajmującem i bez wątpienia dozna przyjęcia, na jakie zasługuje.

— Manuel, du citoyen Français, par M. Albert Millet, 1 vol. in 18; Cotilon. Paris 1876.

Wiele mówią ludowi o jego prawach, ale żadnej prawie nie czynią wzmianki o jego obowiązkach. A jednak tak samo, jak wierzytelność przypuszcza dług, tak równość prawa przypuszcza i wymaga równości obowiązków; — nauka tedy o obowiązkach powinna łączyć się ściśle z nauką o prawach i tworzyć z nią razem podstawę do oświaty ludu — który powinien znać najważniejsze prawa szczególniej dziś, gdy bierze czynny udział w sprawach publicznych. Taką jest myśl przewodnia, przebijająca się w dziele p. Alberta Milleta, w którem usiłował zastosować do pojęcia wszystkich zasady fundamentalne prawodawstwa francuskiego.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Aleksandrowicz Stanisław. — Kuniza klucz do klasyfikacji owiec, poprzedzony pobieżnym poglądem na ogólny stan gospodarstwa, na chów owiec, a szczególnie na wybór ras odpowiednich obecnym warunkom rolnictwa krajowego, z 5 tablicami w 8. str. 39. Warszawa 1876. Zł. 1·70.

Berger Dr. Med. Ant. Stan. — Przewodnik dla pijących wody mineralne oraz sposób zachowania się podczas picia tychże, w 8ce, str. 29. Lwów 1876 30 ct.

Boczyliński Ignacy. — Jak uczyć historji? Wskazówki dla nauczających, w 8ce str. 47. Warszawa 1874 kart. 35 ct.

Boczyński Józef. — O różnej wartości buraków w cukrownictwie i ich uprawie, tudzież o zużytkowaniu materyj nawozowych atmosferycznych, opartem na nowej metodzie uprawy ziemi, w 8ce str. 107. Warszawa 1876. Zł. 2·25.

Bolesławicz. — Bałamutki, opowiadanie w trzydziestu krakowiakach, w 12ce, str. 37. Lwów 1876 50 ct.

Brandon M. E. — Czy nie zapóźno? Powieść, przekład z angielskiego przez M. Falenskę, 3ty w 12ce. I str. 139, II str. 134, III str. 142. Warszawa 1876 Zł. 2.

Chmielowski Dr. Piotr. — Książka do czytania dla dzieci ułożona i wstępem opatrzona, w 8ce, str. 202. Warszawa 1875, kart 85 ct.

Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno. Wskazówki postępowania z dziećmi na doświadczeniu i nauce oparte, w 8ce, str. 143. Warszawa 1874. 68 ct.

Erlicki Alfons. — Kilka uwag o prawie przyrody, w 8· dużej, str. 67. Warszawa 1876. Zł. 1.

Godlewski Mścisław. — Zbiór prac przygotowawczych do ustaw hipotecznych w Królestwie Polskiem obowiązujących, oraz tekst tychże ustaw z pierwotną ich redakcją i rozprawami organów prawodawczych zestawiony. Na podstawie źródeł urzędowych. (Bibljoteki umiejętności prawnych Ser. II.) w 8ce dużej str. 392. Warszawa 1876. Zł. 6.

Jeske August. — Pedagogika obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek. Ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego, w 8ce, str. 352 Warszawa 1875 kart. Zł. 2·50.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka i literatura.

— W ubiegłych kilku dniach przedstawiono na naszej scenie dwie nowości, dramat Leopolda hr. Starzeńskiego „Czaple pióro“ i cztero-aktową komedję Emila Augier „Pani Caverlet.“ Zastanówmy się w krótkości po kolei nad obydwiema. „Czaple pióro“ jak wszystkie dotychczasowe prace p. Leopolda Starzeńskiego, odznacza się głównie zręcznie obranym tematem z historji rycerzy kresowych, i patrjotycznem tegoż przeprowadzeniem. Postać Wybowskiego, tego najsilniejszego reprezentanta polskiej polityki na Ukrainie, którego Polacy w zaślepieniu, niepomni własnych interesów, na śmierć skazali, walczącego do upadłego z hajdamacką tradycją Chmielnickiego, wspieraną zręcznie przez Moskwę i Portę, nadaje się wybornie na bohatera dramatu. Dla tego też sam już temat zapewnia dla sztuki sympatję polskiej publiczności, a jeżeli dodamy do tego, że dramat jest pełny podniosłych zdań patrjotycznych i scen prawdziwie efektownych, tryskających zapałem i dramatyczną siłą, przyznamy, że powodzenie tej sztuki, którego u nas doznała, jest zupełnie uzasadnione. O budowie dramatu i charakterach osób działających daloby się wiele ujemnego powiedzieć: szczególniej charaktery prawie wszystkie owiane są jakąś na pół przezroczystą powłoką sentymentalizmu. Stosuje się to szczególniej do Tetery, którego historja w zupełnie innem, niż autor, świetle przedstawia. W całym dramacie przeważa pierwiastek liryczny: „Czaple pióro“ to udramatyzowana dumka ukraińska, zachwycająca tęskną przeciągłą melodją ale nie dramat w ścisłem słowa znaczeniu, a już pod żadnym względem nie historyczny, jak go się autorowi nazwać podobało. Dramat historyczny nie polega wyłącznie na wprowadzeniu na scenę dziejowych postaci, powinien on malować dokładnie dziejową epokę w najcharakterystyczniejszych objawach, a tej zalety „Czaplemu pióru“ stanowczo odmówić musimy. Widz z przedstawienia „Czaplego pióra“ nie wynosi obrazu Ukrainy w XVII wieku, tętnią mu tylko w uszach piękne frazesy, i zapamięta sobie postaci w kontuszach i kołpakach, pełne średniowiecznego romantyzmu. Nowa praca hr. Starzeńskiego napisana gładkim i pięknym wierszem, mimo tych wad, które zaznaczyliśmy, jest zręcznie napisaną, ciekawość widza utrzymuje w ciągłem naprężeniu, a przytem jak już powiedzieliśmy. temat jej i tendencja zapewniają jej stałe powodzenie w kołach szerszej publiczności. — Dramat Emila Augier pt. „Pani Caverlet“ jest bardzo zręcznie i poczciwie napisanym obrazem społecznym na temat rozwodów. Kwestja rozwodów jest we Francji na porządku dziennym, każdego dnia prawie kronika skandaliczna zapisuje jakiś dramatyczny wypadek, spowodowany uciążliwościami w sprawach rozwodowych, a nawet do „Pani Caverlet“ autorowi dostarczył treści wypadek, który w swoim czasie cały Paryż zaalarmował. Autor wziął dosłownie prawie treść z życia, wyidealizował tylko niektóre postaci i tak ją podał publiczności. We Francji doznała „Pani Caverlet“ wielkiego powodzenia, co po większej części przypisać należy wielkomiastowej ciekawości Paryżan, ujrzenia na scenie tego, co się rzeczywiście nie dawno wydarzyło, ma on jednak, jak wszystkie prace Augier'a, niezaprzeczone zalety, czyniące go dziełem wyższej artystycznej wartości. Do zalet tych zaliczyć nasamprzód musimy wierne z prawdą obrobienie tematu, żywość akcji, naturalność charakterów i zręczny djalog, którym w ogóle wszyscy francuscy dramaturgowie znakomicie władają. Liczna na pierwszym przedstawieniu publiczność przysłuchiwała się tej nowej pracy francuskiego księcia sceny, z niezwykłą uwagą i przyjemnością, a każdy wychodząc z sali teatralnej, mógł powiedzieć ze spokojnem sumieniem, że wieczora nie stracił.

— „Afrykanka“ Meyerbeera jest bezsprzecznie operą, która wymaga nieodzownie bardzo a bardzo dobrej obsady ról pojedynczych, przedewszystkiem zaś tytułowej. Partja Seliki obejmuje sobą wszystko, co w wysokim stopniu posiadać musi rutynowana śpiewaczka, to też gdy która primadonna wywiąże się świetnie z trudnego zadania, słusznie należy się jej tytuł znakomitej śpiewaczki. Pani Paschalis złożyła już dotąd kilka nader chlubnych prób swojego talentu i zasobów artystycznych; wszelako Selika z środowego przedstawienia „Afrykanki“ — otwarcie wyznamy — przeszła nawet oczekiwania nasze. Pamiętamy w tej partji p. Miller Czachowskę, śpiewaczkę o szerokiej, europejskiej sławie, otóż p. P. śmiało rywalizować z nią może, a nawet — kto wie — czy niestrudzonym swoim głosem olbrzymim, nie odniosłaby stanowczego w tej partji zwycięstwa. P. Zakrzewski, choć zdaniem naszem nie bardzo zdawał się tym razem dysponowanym dla trudnej swej partji, dzielnie dotrzymywał primadonnie miejsca w wysokich unisonach i wspólnie z nią zbierał huczne a zasłużone oklaski. Najpiękniej wypadł dla niego duet końcowy 4go aktu. Partję Neluska śpiewał przybyły z Medjolanu na kilka występów gościnnych p. August Souvestre. Głos p. S. bardzo sympatyczny, jest silniejszy w niskim regestrze dość zaś zerwany w wyższym, i tak: wysokie *mi* barytonowe wychodzi mu jeszcze czysto, *fa* kosztuje go już wiele natężenia, a *sol* z arji na okręcie choć zręcznie atakowane, przyprawiło jednak śpiewaka o fatalne utknięcie. Co zachwyca słuchacza to świetna deklamacja artysty, że się tak wyrazimy, jakaś czarująca szlachetność w śpiewie, doskonała gra dramatyczna, słowem to wszystko, czego udziela dobra szkoła. Na Neluska jednak trzeba i nadzwyczaj silnego głosu — istnie miedzianych piersi! Dla tego też p. S. nie wywołał wielkiego wrażenia, jakie, wnosić możemy, byłoby mu kiedyindziej udziałem słusznym. *Stan. W.*

— Pan Władysław Okoński, autor „Niewinnych“ „Ojca Makarego“ i innych utworów dramatycznych, osnutych na tle historji starogreckiej, bawił w zeszłym tygodniu kilka dni w naszem mieście. Najnowszy jego utwor „Na targu“ będzie pomieszczony w przyszłych numerach naszego pisma.

— Pan Aleksander Świętochowski otrzymał stopień doktora filozofji na uniwersytecie lipskim. Jego rozprawa doktorska „Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären“ napisana z wielką erudycją jest wyciągiem z dzieła obszernego, które p. Świętochowski ogłosi wkrótce po polsku w Warszawie.

— M. Moore, właściciel młodzieńczego płótna Rafaela „Apollo i Marsyas“, został zawezwany ze strony Filadelfijskiej komisji „stuletniej rocznicy“ ażeby nadesłał na wystawę niektóre cenne swoje malowidła. Oprócz wyżwymienionego obrazu posiada on także „głowę Dantego“ pędzla Rafaela i *Vierge au puprite* — przypisywaną Michałowi Aniołowi. Zarazem zapewniła komisja jemu i synowi jego zwrot kosztów podróży na wystawę, tam i z powrotem. Spodziewają się, że właściciel pozwoli także na wystawienie tych arcydzieł przez czas pewien w jednem z muzeów amerykańskich.

— Hrabia Gleichen, wnuk królowej Wiktorji pracuje obecnie nad olbrzymią statuą króla Alfreda, która ustawioną będzie w Wantage miejscu urodzenia wielkiego monarchy angielskiego. Równocześnie wykańcza posąg naturalnej wielkości, przedstawiający Hero, kochankę Leandra.

— Nowa organizacja wiedeńskiej opery nadwornej została już definytywnie ukończoną. Podług niej, scena będzie przez dwa dni w tygodniu zamkniętą, balet zaś nie będzie odtąd wypełniał wyłącznie całego przedstawienia wieczornego, jak to dotychczas miało zawsze miejsce. Natomiast obiecuje dyrektor Jauner komicznej operze poświęcić więcej uwagi i staranności, i obsadzić ją stosownemi siłami. Na przyszły sezon zimowy zapowiedziano już cztery nowe opery: Wagnera: „Tristana i Isoldę“ — Kretschmera: „Folkungerów“ — Saint-Saens'a: „Delilę“ i Hallströma: „Króla gór“.

— Liczba czasopism wydanych w Austrji w r. 1874 wynosiła 810 (rokiem poprzednio 866); z tego było 81 ekonom. politycznych, 58 agronomicznych, 47 przemysłowo-technicznej treści etc. 544 pism wychodziło w niemieckim języku, 108 w czeskim, 47 w polskim, 18 w słoweńskim, 8 w ruskim, 3 w serbsko-kroackim, 57 we włoskim, 2 w francuskim, 2 w greckim, 11 w hebrajskim lub alfabetem hebrajskim, Oprócz tego było dziesięć pism w podwójnym języku: 6 w niemiecko-czeskim, a 4 we włosko-illiryjskim. Codziennych pism było w r. 1874 tylko 85, natomiast 267 takich, które tygodniowo wychodziły, 77 zaś które 2 i 3 razy na tydzień się pojawiały.

Gospodarstwo.

— We Lwowie zawiązało się stowarzyszenie łowieckie, mające na celu ochronę zwierząt i uregulowanie polowań. Statut wypracował dr. E. Janota, inicjatorem Stowarzyszenia jest hr. Roman Potocki.

— Płeć piękna coraz gorliwiej zaczyna pracować w Królestwie polskiem. I tak dowiadujemy się z „Korespondenta Płockiego,“ że w mieście tem pani Majeranowska zakłada spółkę połączonej pracy kobiet, mającą na celu nie tylko produkcję, ale i zbyt wyrobów kobiecych. Zyski należeć będą wyłącznie do tych pracownic, które pracą własną przyczyniły się do osiągnięcia zysków.

— W niektórych okolicach australskiej kolonji Wiktorja, osobliwie około Julja Creek, rolnicy strapieni nie umieją znaleść sobie ratunku na istną plagę polową, nawidzającą i pustoszącą ich zbiory tłumami królików. W Ballarat zaradzono złemu w ten sposób, że sprowadzono dużo lisów z Europy i puszczono je na obfite łowy. Skutek okazał się korzystnym nad oczekiwania wszelkie — i lisy niszczą do szczętu rozmnożone rzesze królików. Równie w tej mierze pożytecznemi okazały się zdziczałe koty, nie ma zaś najmniejszej obawy, by tak pierwsze jak drugie, szanowane od ludzi, stały się kiedy jaką plagą krajową.

Zjawiska natury.

— W Raguzie, Mostarze, Metkwich'u, Slano i Janina, zauważano w nocy o 11ej godzinie 25go lutego br. dwa silne wstrząśnienia ziemi, udzielające się w kierunku, z południowo zachodni w północny Wschód.

Odkrycia.

— W górach Himalaja odkryto ostatniemi czasy nowy gatunek tytoniu. Śnieg i mrozy nie szkodzą roślinie, a kwitnie od sierpnia aż do marca. Liście jej równają się liściom wirginijskiego tytoniu.

ROZMAITOŚCI.

— Przed sądem londyńskim odbyła się niedawno rozprawa, której przedmiotem było okrutne zabójstwo, popełnione na pełnem morzu. Przebieg rzeczy był następujący: Okręt „Lennie," z Yarmouth, w Nowej Szkocji trzymasztowiec z ciężarem 950 ton, leżał w październiku r. z. w Antwerpji, skąd popłynąć miał z balastem do Savannah czyli Nowego Orleanu, a powrócić z ładunkiem towarów. Kapitan tego okrętu, Hatfield, był Kanadyjczykiem, pierwszy sternik, Wortley, Irlandczykiem, drugi Macdonald, Anglikiem. Steward van Hoydonck był Belgijczykiem, również pomocnik jego, młody Trousselot, puszczający się właśnie po raz pierwszy w życiu w podróż morską. Dwaj ostatni wstępowali pierwsi na okręt, gdyż w październiku nie miał on jeszcze załogi. W tym też celu zapisano z Anglji jedenastu ludzi, i ci wnet przybyli do Antwerpji zwerbowani z rozmaitych narodowości. Między nimi był jeden tylko Anglik, niejaki Renken, resztę składało: czterech Greków: Kargalis, Leosis, Kaludis, Moros; trzech Turków: Karkaris, Kaida, Angelos; jeden Włoch: Canesso; jeden Duńczyk: Peterson, i jeden Austrjak: Lettes. „Lennie" należał do stowarzyszenia wstrzemięźliwości i nie miał na pokładzie ani kropli spirytualjów. W zamian polecił kapitan Stewardowi, by ludziom na niczem nie brakowało pod względem pożywienia. Taka troskliwość kapitana znalazła uznanie załogi, która 28 października, rozpoczęła służbę na okręcie. Jak sami podsądni zeznali, Hatfield był zawsze przyjacielskim i łagodnym przełożonym. Wypadek zrządził, że 31 października, właśnie gdy okręt wypłynął już na pełne morze, kapitan nie bez racji zapewne, począł łajać majtków. Miano obrócić okręt, i cała załoga była na pokładzie tylko Steward i jego pomocnik młody, znajdowali się w kajucie. Nagle usłyszał Steward głośną sprzeczkę. Kapitan wołał gniewnie, że podwładni na morzu są jak gdyby „żołnierzami" i winni mu bezwzględne posłuszeństwo. Wnet potem dał się słyszeć gwar, szybkie kroki jak gdyby kto gonił za kim na pokładzie, potem okrutny krzyk kapitana, jaki zwykł wydawać człowiek ugodzony białą bronią, dalej hałas piekielny, w końcu pięć strzałów. Hoydonck chciał wybiedz na pokład, ale wychód został już zaparty. Więc poszedł do kajuty obudwu sterników, nie zastał jednak żadnego. Przeczuwając coś złego, zabrał z kajuty kapitana dwa nabite rewolwery i ukrył je dobrze, wiedziony dziwną jakąś przezornością. A nie mógł zrobić nadto lepiej, gdyż wnet przystąpili doń zrewoltowani majtkowie i zapytali go surowo, czy nie posiada jakiej broni. Dopiero po skrzętnej rewizji wyznali mu otwarcie, że zabili kapitana i sterników, jego zaś wraz z młodym pomocnikiem, postanowili zostawić przy życiu. Powodem tego niezwykłego miłosierdzia zbójców, była okoliczność, iż nierozumiejąc żeglugi potrzebowali Stewarda nieodzownie. Za warunek życia postawili mu zarazem ten obowiązek, aby okręt skierował w kierunku Grecji, i dotarł do jej brzegów. Grecy bowiem znajdujący się między rozbójnikami, twierdzili, że znają tam człowieka, który chętnie odkupi od nich okręt. W nagrodę trudów Steward miał otrzymać mapy i instrumenta znajdujące się w kajucie kapitańskiej. Oczywiście, że pierwszą myślą tajną Hoydoncka było, jakąbądź ceną starać się wylądować na brzegi Anglji. Gdy dostał się na pokład, ujrzał liczne ślady krwi, przyczem mordercy opowiedzieli mu otwarcie, że ciała zamordowanych, obciążone łańcuchami i balastem, wrzucili do morza. Hoydonck objął wnet ster osierocony, i teraz rozpoczęła się żegluga w zygzaki, przyczem dzielny Steward okazał spryt i chytrość lisią. Z rzadką zręcznością umiał zawsze obałamucić i uspokoić zbójów, ilekroć go złapali na uczynku, jak usiłował skierować statek ku brzegom Anglji. Szczęściem umiał zawsze usprawiedliwić swe postępowanie zagadkowe. Raz nawet musiał wystąpić energicznie, by przed morderczemi zamiarami zbójców ocalić młodego Trousselota, którego oni koniecznie zgładzić chcieli, obawiając się, by na lądzie nie wydał ich zbrodni. Dopiero gdy Steward im zagroził, że na wypadek śmierci Trousselot'a on sam się w morze rzuci, odstąpili od zbrodniczego zamachu. Ósmego listopada zaświeciła mu na chwilę nadzieja ratunku. W pobliżu wyspy Isle de Ré powiodło się Stewardowi wystawić sygnał o pomoc wzywający, i wskutek tego przybyło rzeczywiście od brzegów czółno z majtkami. Atoli mordercy nie dopuścili Stewarda do rozmowy z przybyłymi, a odprawiwszy ich, sygnał zdjęli natychmiast. W dalszym ciągu, Steward wraz z Trousselotem wygotowali w tajemnicy kilkadziesiąt kartek z opisem wszystkiego po francusku i angielsku, i w zakorkowanych flaszkach wrzucili takowe w morze na rozmaitych miejscach. Kilka z tych flaszek fale wyrzuciły na brzegi francuskie, gdzie je otworzono i ze zgrozą przeczytano straszne dzieje Stewarda. Rzecz naturalna, że władze francuskie poczyniły bezzwłocznie odpowiednie kroki. Tymczasem na morzu wszczęły się szalone burze, i Hoydonck oświadczył zbójom kategorycznie, iż dla salwowania niezbyt mocnego statku niezbędnem jest zbliżyć się do brzegów, i zarzucić gdzieś kotwicę. Raz jeszcze wywiesił sygnał ratunkowy ale i teraz zdarli go zbóje. Duńczyk zaś rozdarł angielską flagę na dwoje i zestukował z niej duńską. Teraz Hoydonck usiłował wytłumaczyć im, że wyspa Ré to Kadyks. Nie dali się wziąć jednak na tę wędkę. Dopiero gdy im oświadczył że Francja jest Rzeczpospolitą wolną i nic im na jej terytorjum nie stanie w drodze, zdecydowało się sześciu z nich wylądować. Łatwo się domyśleć że przedtem jeszcze zacna spółka jedenastu łotrów podzieliła się wszystkiemi rzeczami wartościowemi na statku. Gdy dostali się na ląd postawieni przed francuską władzą opowiedzieli zmyśloną bajkę o nieszczęśliwych kolejach niby na morzu przebytych. Atoli szyki im się poplątały tak dalece, że władza nabrała podejrzenia co do ich prawdomowności i aresztowała wszystkich. W lot posłano depesze wzdłuż brzegów a policja czynną była pilnie w dochodzeniu istoty rzeczy, o ile to tylko możliwem jej było. W dwa dni do okrętu „Lennie" zbliżył się statek francuski uzbrojony i wysłany umyślnie na morze. Hoydonck opowiedział komendantowi całe położenie swoje, ten zaś polecił mu, by przybył czółnem do niego. Na to nie chcieli zgodzić się żadną miarą pozostali z szajki zbóje. Zagrożeni rewolwerami spuścili w końcu czółno, i Hoydonck udał się na ląd, gdzie zdał sprawę z wszystkiego, prosząc zarazem o uwięzienie tamtych sześciu i pozostałych pięciu na okręcie. Po sprawdzeniu zbrodni zjawiła się kwestja gdzie zbóje mają być sądzeni? Niebawem jednak zadecydowano, że ponieważ okręt był angielski, więc Anglji przysłuża prawo sądzenia sprawy. Dzielny Hoydonck i Trousselot byli przedmiotem licznych owacyj i pochwał, na co też zasłużyli sobie w całej pełni. Mordercy odnieśli najostrzejsze kary, które zawiera kodeks w tej mierze.

— Boabdil, ostatni król Maurów, pokonany przez Hiszpanów opuścił Granadę i pociągnął w góry, które mu pozostały teraz jedynem schronieniem. Gdy przybył do Alhendin'u, ostatniej stacji, skąd widać jeszcze Alhambrę, zatrzymał się tam na godzinę, by odpocząć, a bardziej, by przynajmniej z daleka zobaczyć ukochaną swą rezydencję majestatyczną, której już więcej widzieć nie miał w życiu. I pogonił załzawionem z żalu okiem na ten raj ziemski, na sławną t. z. Vega (t. j. pole ogrodowe) Granady, opiewaną tyle razy przez poetów, która przez wieki całe była widownią walk krwawych między wyznawcami krzyża a półksiężyca. Nakoniec Boabdil odwrócił strapione oblicze i rzekł z rezygnacją: „Allah ak bahr!" tj. Bóg jest wielki. Obecny wezyr, słysząc te słowa, odezwał się doń tą piękną sentencją: „Nie smuć się panie, a rozważ raczej, że zarówno historja mieni tych wielkimi, którzy umieją odnieść zwycięstwo głośne jak tych, którzy zdołają przyjąć ciężką klęskę z męstwem i podniesionym duchem!" Na to Boabdil westchnął głęboko i odpowiedział żałosnym głosem, podczas gdy łzy strumieniem z oczu mu pociekły. „Jestże pod słońcem, równie mojej dotkliwa klęska?" Te rozpaczliwe słowa wywołały niezadowolenie starej matki króla, Agischy. „Teraz płaczesz, jak dziecko — zawołała gniewnie — a nie posiadałeś pierwej dość odwagi, byś jak mąż dzielny bronił królestwa twojego!" Jakkolwiek te gorzkie słowa starej królowej maurytańskiej, nie są stwierdzone, to przecież ta skała na której one miały być wyrzeczone, nazywa się: „el ultimo suspiro del Moro" tj. ostatnie westchnienie Maura, a także „cuesta de las lagrimas." pagórek łez. Starzy historycy opowiadają, iż cesarz Karol V. potwierdził sam autentyczność następujących słów Agischy: „Grób w Alhambrze stokroć mi droższy, niżeli pałac w Alpucharze." O zgonie Boabdila historycy nie podają nic stanowczego. Niektórzy twierdzą, iż z Hiszpanji udał się do Afryki i tam zginął w jakiejś walce. Więcej prawdygodnem w tej mierze zdaje się być podanie uczonego orjentalisty Pascual'a de Gayangos. Powiada on, że pokonany król Maurów popłynął nasamprzód do Melill dzisiejszego Presidio na wybrzeżu Afryki. Ztąd ruszył do Fez, gdzie osiadł, wiodąc żywot nader smutny. Kilka pałaców, które wybudować kazał na wzór Granadyjskich, nie nagrodziły mu utraty wspaniałych oryginałów. Umarł w r. 1538.

— Markiz de Veron wziął był na dwór swój malarza Jana Mabuse, który dobrze władał pędzlem, a jeszcze lepiej umiał wypróżniać pełne kielichy. Wszystkie zabiegi markiza, usiłującego odwieść artystę od zbytniego pijaństwa, pełzły zawsze na niczem. Pewnego dnia zapowiedział markizowi przybycie swoje cesarz Karol Vty. Ażeby przyjąć godnie tak wielkiego mocarza, postanowił markiz cały dwór swój liczny przystroić w białe adamaszkowe suknie. Zarówno innym, dostał i Mabuse odpowiednią ilość materji; atoli, zamiast dać sobie zrobić z takowej ubior, sprzedał ją niebawem a pieniędze otrzymane przepił. Gdy cesarz przybył, w świcie markiza stawił się także Mabuse, przybrany w piękny ale dziwnie cienki strój z białego adamaszku. Spostrzegłszy go Karol zdumiał się i oświadczył, iż nie widział dotychczas tak cienkiej materji. Kazał więc zbliżyć się mu do tronu i oczywiście wnet poznał ku największej uciesze, że cały ubior sporządzony był z cienkiego białego papieru stosownie pomalowanego. Zapytany, dla czego pojawił się w tak niezwykłym stroju, odparł Mabuse bez zająknienia: „Chciałem w ten sposób, monarcho, zachwycić Ciebie i dwór cały!" Innego atoli zdania był markiz rozgniewany niezmiernie tą zuchwałością dworzanina. „Do więzienia z nim!" zawołał. Szczęściem dla Mabuse'a cesarz ujął się za nim, przyczem jednak zrobił mu uwagę dowcipną, że to przecie wcale nie zachwycający strój z gałganów.

— Jak olbrzymim a zarazem niedorzecznym był przed wiekami przepych na dworze Wielkiego Mogoła indyjskiego, przekonać się można z relacyj naocznego świadka Sir Tomasza Roe z r. 1615. Podczas uroczystych okazyj widziano zawsze tego władcę nie okrytego ale liberalnie obładowanego djamentami, perłami, rubinami i innemi drogiemi kamieniami. Nawet słonie używane do uroczystych pochodów były przybrane w złociste siodła, a uprząż okrytą najdroższemi kamieniami Wschodu. Gdy monarcha ten święcił dzień urodzin swoich, wówczas najprzyjemniejszą rozrywką jego było, gdy przyniesiono mu dwie szkatułki, jedną napełnioną drogiemi kamieniami, drugą kuleczkami ze złota i srebra, poczem władca raczył społem z ministrami bawić się, rzucając tem wszystkiem po ziemi, podobnie jak u nas dziatwa kraszankami się zabawia. Inną znowu rozrywką było dlań, że kazał ważyć się w ten sposób, iż na jednej szali stawał sam, a na drugiej kładziono złoto, srebro, drogie kamienie, bogate szaty itp. kosztowności ze skarbu książęcego. Gdy się nabawił do syta w ten sposób, rozpoczynała się suta pijatyka, przy której wspaniały książę szedł w zawody ze swoimi ministrami.

Od Redakcji.

*** **w Krakowie.** Recenzja o wiadomem dziele będzie pomieszczona w przyszłym numerze.

P. W. w Stanisławowie. „Przygody w Indjach" nie wyjdą w osobnej odbitce.

R. K. w Przemyślu. Powieść Jana Lama „Idealiści" opuściła prasę w osobnej odbitce i kosztuje 3 zł. 60 cnt. Tegoż autora „Głowy do pozłoty" wyszły w trzeciem wydaniu i kosztują 3 złr.

Treść Nr. 18.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).